Nr. 21 (1065). Warszawa, dnia 12 (25) Maja 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60. rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Salisbury i fakta.

Sternik rządu angielskiego d. 14 b. m. na bankiecie zachowawców, unionistów, tj. odpadłych od liberalizmu przeciwników samorządu irlandzkiego, i *dissenterów*, nowej kupy zbiegów, powstałej pod działaniem promieni transwalskich, miał mowę wielce patryotyczną, za którą nie może go się *Times* nachwalić: tem gorzej dla niego, bo ten niegdyś organ lojalnej J. Kr. Mości opozycyi od lat kilkunastu jest tylko wielką tubą dla najjaskrawszego nawet jingoizmu i za jego pochwały nieraz wstydzić się musi i rozum i uczciwość. Już w pierwszej części swej oracyi margrabia obraził prawdę, gdy sławił zdolności generałów angielskich, którzy, wręcz przeciwnie, jeżeli czegokolwiek dowiedli na stepach Afryki południowej, to tylko nieudolności, tak samo jak Anglia wykazała, nie swą militarną potęgę, ale tylko społeczną zasobność i polityczny upór. I tu również przechwałka wyparła prawdę: wojna w Afryce właśnie ma dowodzić, jaką to wielką siłą militarną włada ojczyzna. „Poniesione ofiary — mówił Salisbury — miały ten pożytek, dla ogólnego stanowiska Anglii w świecie ważny, że niema dziś na kuli ziemskiej rządu, któryby nie widział, że wyzywając Anglię, wyzwałby przeciwko sobie wroga straszniejszego od wszystkich, z jakimi kiedykolwiek walczył." Dziwna katarakta na oczach! Wręcz przeciwnie, widok nieradności angielskiej w Transwalu i Oranii, zużycie 300,000 żołnierzy na pokonanie 800 tys., a choćby miliona ludu Boerów—mogły tylko zachęcić każde wielkie mocarstwo militarne do uderzenia na Anglię. Coby było z jej wielkością, gdyby np. na wiosnę r. 1900 natarła była na nią Rosya—Rosya i Francya?

Druga korzyść, wskazana przez Salisburego, jest prawdziwszą. Istotnie, wojna transwalska zmusiła Anglię do pomyślenia o reorganizacyi wojskowej, o wytworzeniu siły na międzynarodowej widowni skutecznie działać już zdolnej, ilościowo i jakościowo dość sprawnej, aby w braku przymierzy i niemożności szczęsnego wynajmowania Hessów, jak w końcu XVIII w., stawić czoło całej nawet koalicyi państw wrogich, na sposobność tylko czyhających. Nauka nie poszła w las, ale co przyniosła? Czy przekonanie o sile, o mocarstwowej tęgości Albionu na wszelkie przypadki? Znowu, wręcz przeciwnie, mogła obudzić tylko uczucie organizacyjnej niemocy i rozpoczęte już leczenie się z niej jest właśnie darem, nie odpędzonej, lecz cierpliwie wysłuchanej i przyjętej nauki faktów. Dotychczas nie mogą Anglicy odważyć się na służbę powszechną, a cokolwiek z ochotnika, z funta sterlingów, z obowiązkowego, lecz również luźnego yeomana zrobić można, to nowy projekt Brodricka robi. Jeżeli już pójdzie na noże, będzie miała Anglia z jakie sześćkroć sto tysięcy wojska, ale tem jeszcze przyszłości swej nie wyżywi. Nieuchronniejsze są następstwa złych czynów, niż dobrych. Podbój Transwalu przetwarza schemat istnienia politycznego Anglii w duchu militaryzmu; ten militaryzm kategoryczny stać się musi i historycznym, dziejowym. Pozbędą się Anglicy swych wstrętów: będą jak Prusacy szli wszyscy pod broń, służba powszechna staje się ich potrzebą, żądzą, radością, jak dla Prusaków, i również jak oni przekonają się, że można mieć i służbę powszechną, i Kruppa, i żołnierza, i przemysł, i siłę zbrojną, pielęgnowaną troskliwie, i cywilizacyę obfite zbierającą owoce. Sterlingi wewnętrzne nawet lepszego mogą nabrać obrotu przez wielkie dla armii dostawy

Wprzód może jeszcze, zanim się obyczaje angielskie do przyszłości angielskiej przystosują, konieczność zmusi podbójców Transwalu do uzbrojenia kolonij. Cała macierzyńska tkliwość nie wystarczała dotychczas metropolii do pozwolenia kochanym dziatkom na własne wojsko. Są tylko milicye po koloniach, niema armii. Niedalekim jest może czas, że wzmacnianie się lądowe u siebie, w Europie, ostatecznie okaże się tylko łataniną kosztowniejszą od porządnej roboty, jaką dać może tylko zapewnienie koloniom samorządu wojskowego. Przekonanie to przyjdzie tem prędzej, im skwapliwiej same kolonie po to naturalne prawo każdego społeczeństwa, czującego swą odrębność, sięgną. Może nawet przyznanie takiego samorzą-

du być środkiem zażegnania niebezpieczeństwa, które z czasem wystąpić musi, a przez organizacyę wojskową samoistną, rzecz prosta, zażegnane, po jej zaprowadzeniu, może się tylko na nowo od niej rozpalać. Małość swych sił Anglia doskonale widzi. Balfour d. 20 b. m. wręcz powiedział: „Dawniej obawialiśmy się tylko jednego mocarstwa, obecnie cztery, nawet pięć mocarstw wzrosło tak bardzo w potęgę, że obawiać się ich potrzeba."

W jednym z ustępów swej mowy Salisbury twierdzi, że „wybuch wojny był oddawna uplanowanym spiskiem Boerów na Anglię." Jest to coś więcej, niż kłamstwo — jest bezwstyd. Na wiele lat przed spiskiem Boerów przeciw Anglii istniał już, nurtował głębie, falował na powierzchni spisek angielski przeciw Transwalowi. Przed dwudziestu trzema laty był on już zwycięzkim, a Transwal powalony u nóg jego jak martwy leżał. Przyszło przecież odrodzenie — dało widok szczytny, Anglicy ponieśli srogie klęski, Transwal zyskał wyzwolenie. Ale spisek angielski nie ustał, spisek angielski wszedł Anglikom w żyły. Wyprawa Jamesona, Rhodesa i Chamberlaina na nowy rok 1896, ciągnie kłamców przed trybunał prawdy i sama ich piętnuje. Postawieni w stanie koniecznej obrony, musieli Transwalczycy porwać się do broni.

Szlachetny lord nie mógł sobie odmówić przyjemności ugodzenia i w Irlandyę: Co by było, gdybyśmy im nadali byli w roku 1893 *home rule?* Wrogi rząd irlandzki — odpowiada mówca. Nieprawda—tylko rząd neutralny.

AKT OSKARŻENIA.

Wiedeń, 21 maja

Źle się powodzić zaczyna klikom klerykalnym, reprezentującym w parlamencie wiedeńskim narodowości słowiańskie. Klerykali, którzy przez usta biskupów austryackich, zebranych na kongresie zaraz po stłumieniu ruchów w r. 1848 oświadczali, że narodowościowe różnice i prawa są sprzeczne z zasadami kościoła, ponieważ narodowości powstały z pomieszania języków pod wieżą Babel, a to pomieszanie było karą bożą — później, dzięki zwyrodnieniu i uwstecznieniu idei narodowości, które było cechą charakterystyczną drugiej połowy XIX stulecia, przywłaszczyli ją sobie, zaprowadzili monopol patryotyzmu i jego reprezentacyi. Ale wahadło dziejowe odchyliło się znów na lewo. Nowe warstwy, podnoszone wulkaniczną siłą z głębin ku powierzchni, po krótkim okresie względnego przeczenia, psychologicznie całkiem zrozumiałego, jako reakcya przeciw owemu zwyrodnieniu i uwstecznieniu, przywracają idei narodowości jej rozprężne z pierwszej połowy ubiegłego stulecia znaczenie, i domagając się miana patryotyzmu dla swego także patryotyzmu zrozumienia, podkopują i otwarcie atakują monopol konserwatywno-klerykalny. Dlatego, między innemi, klerykalne kliki słowiańskie w parlamencie wiedeńskim zaczynają mieć coraz więcej „nieprzyjemności," jak się ze smutkiem i oburzeniem wyraża poczciwy p. poseł Gniewosz.

Niedawno miał taką nieprzyjemność wszechwładny dotychczas przedstawiciel i przywódca Słoweńców z Krainy, poseł Sustersic, zacięty klerykał, któremu dwaj liberalni rodacy z całą bezwzględnością wykazali w parlamencie szereg nadużyć politycznych. Koło polskie, wraz z całą zresztą klerykalną prawicą i nawet „młodo"-czechami, usiłowało go wówczas oczyścić i dać mu honorową satysfakcyę. D. 13 b. m. przyszła jednak kolej i na Koło polskie; a akt oskarżenia, sformowany przeciw niemu przez posła Daszyńskiego, nietylko nas daleko bliżej obchodzi, ale i na całą opinię publiczną wywarł niezmiernie silne wrażenie

W parlamencie roztrząsano sprawę nagłej pomocy dla różnych krajów, nawiedzonych powodziami, pasorzytami winnie i innemi klęskami naturalnemi. Cicho było i spokojnie; posłowie słodko drzemali. Ale przy samym już końcu dyskusyi p. Daszyński uznał za stosowne przypomnieć, że Galicyę nawiedza peryodycznie, a raczej nawet gnębi chronicznie klęska, najgorsza może ze wszystkich, niezależnych od woli nawiedzonego, choć nie naturalna, lecz czysto społeczna: brak pracy — dla chcących pracować, dla tych, którzy bez pracy literalnie nie mają kawałka chleba. I, wspominając o świeżych zaburzeniach we Lwowie, wynikłych z tego powodu nie po raz pierwszy, powiązał przyczynowo te smutne objawy z brakiem przemysłu, ten zaś z brakiem kredytu, a smutny stan kredytu położył, w znacznej części słusznie, na karb uczucia niebezpieczeństwa i stanu niepewności, wytworzonych przez systematyczną bezkarność stałych malwersacyj, które popełniają zgodnie arystokracya pieniężna i rodowa. Jednym z objawów smutnego stanu kredytu jest to, że w Krakowie stopa procentu od pożyczek wynosi 12 do 20, a weksle galicyjskie dyskontowane są w Wiedniu, Pradze i innych miastach podług wyższej znacznie stopy, niż inne, a czasem i zupełnie odrzucane.

P. poseł Dawid Abrahamowicz przerwał tu mówcy żądaniem dowodów, nazwisk. Miał zapewne nadzieję, że go zaskoczy nieprzygotowanego, albo liczył może na uczucie przykrości, jakie każdy odczuwa w chwili, kiedy trzeba winnych nazwać w oczy po imieniu. Ale musi teraz gorzko żałować swego niebacznego żądania. Bo z ust p. Daszyńskiego, mającego widocznie te hańby i cierpienia galicyjskie ciągle w pamięci i przyzwyczajonego do walki oko w oko, posypał się natychmiast długi szereg nazwisk, uprzytomniających smutną kronikę kryminalną lat ostatnich. Więc samobójcy - malwersanci Jędrzejowicz i Wiktor; więc zausznicy Badenich, członek Izby panów Marchwicki i dr. Krzyżanowski; więc nieoddający depozytów hr. Potocki; Zima i współwina kontrolera rządowego w jego malwersacyach; więc baron Branicki, bezkarny jak hr. Scipio, który po roztrwonieniu majątku żyje z synekury w Wydziale krajowym.. Ostatni skandal z księdzem ormiańskim Mardyrosiewiczem, który na kochanki roztrwonił powierzone mu oszczędności biednych, co przyspieszyło śmierć arcybiskupa Isakowicza... Do tej galeryi z przeszłości przyłączyły się dwa oskarżenia z najnowszych czasów, skierowane przeciw dwu członkom Koła polskiego, pp. Wielowieyskiemu i Gizowskiemu, pierwszemu—o udział w bankructwie Tow. hodowców bydła i w szantażu przeciw księciu Adamowi Sapieże; drugiemu — o udział w sprawie nadużyć w samborskiej kasie oszczędności, które spowodowały samobójstwo 70-letniego właściciela Radłowic, Kazimierza Barańskiego — oskarżenia, rzucone prosto w twarz z całym spokojem, które wywołały uż wdrożenie śledztwa przez prezesa Koła polskiego... Pytał też p. Daszyński, co znaczy pozostawienie przez namiestnika, hr. Pinińskiego, bez żadnego skutku danej mu już przed paru miesiącami przez ministeryum wskazówki, że są do rozporządzenia znaczne kredyty na zaradzenie brakowi pracy za pomocą robót publicznych. Mówca żądał nagany dla namiestnika za „lenistwo arystokraty, którego nie obchodzi głód innych"; ale w Galicyi uparcie krążyła pogłoska, że kredyty te miały być zużytkowane na „urządzenie" nadchodzących wyborów do sejmu, pogłoska, która, jeśli nawet jest nieprawdziwą, to w każdym razie wymownie świadczy o stopniu zaufania ogółu do szlachty... Gdy wspomniano o tem, że robotnicy, niemający pracy w miastach, nie chcą jej przyjmować na roli, p. Daszyński okazał oryginalną monetę, mającą w Galicyi na wsi kurs przymusowy: kawałek tektury z napisem „15 krajcarów," które chłopi w majątkach pp. Kajetana Sołtana Abgarowicza (powieściopisarza!), posła Tyszkowskiego i w. in. przyjmować muszą, jako zapłatę codzienną, a które jedynie żyd-szynkarz, nikt inny, realizuje na monetę brzęczącą, ale tylko w niedzielę, tylko w szynku i po cenie o tyle mniejszej od nominalnej, o ile dzień wydania kwitka odleglejszy jest od niedzieli. Piętnując to postępowanie, jako pospolite oszustwo, porzucił mówca wreszcie szczegóły i w końcowym ustępie, za który przez jednego z Cyceronów Koła polskiego został nazwany Katyliną, ale który, niestety, prędzej na myśl przywodzi płomienne nawoływanie Skargi do poprawy, streszczając wszystkie niedole ludu galicyjskiego w fakcie niesłychanie wielkiej emigracyi, panicznej ucieczki przed głodem, szlachtą i jej służebnicą — biurokracyą austryacką, rzucił w twarz bladym z gniewu magnatom straszne: *To wasza wina!* „Coście zrobili wobec tej, że tak powiem, masy zepsutego mięsa, które przecie jest także majątkiem narodowym? Od lat czterdziestu nie przeprowadziliście w sejmie ani jednej reformy. Nie dziwcie się więc, że lud nienawidzi was i gardzi wami, boście sprawcami jego zguby; klasą, której egoizm nie pozwala mu ujść z życiem, albo też zmusza go uciekać do najdalszych krajów, mając dla ojczyzny słowa przekleństwa na ustach. Jeśli nawet pominiemy waszą niegodną politykę bizantynizmu i serwilizmu względem każdego rządu, to ten jeden fakt, że w miastach i wo wsiach naszych wszyscy głód cierpią, a was to nie obchodzi, ten jeden fakt uprawnia i uświęca względem was wszelką opozycyę."

„Spytajcie nietylko chłopa i robotnika, spytajcie kupców, inteligencyę, urzędników nawet, każdy, o ile szczerym mu być pozwolicie, powie wam, że kto tak przemawiał, jak ja dzisiaj, przemawiał na pożytek krajowi; nie można pozwolić, abyście wy, uosobienie pasorzytnictwa, zacofania i niezaradności uchodzili tu za kwiat narodu polskiego. *Musicie* ustąpić, jeżeli lud nie ma poprostu z głodu umierać!"

W tych ostatnich słowach p. Daszyński przestał być człowiekiem jakiejkolwiek zamkniętej partyi; przemówiło jego głosem sumienie całej niezależnej części społeczeństwa, całej tej postępowej koalicyi ducha nowożytnego, której utworzenia domagał on się, jak dotychczas bezskutecznie, w swej daleko patrzącej broszurze p. t. „Szlacheczyzna a odrodzenie Galicyi." Z góry też zawiera się w nich odparcie oklepanego, choć tym razem z tem większą zaciętością powtarzanego zarzutu, o „ptaku, który własne gniazdo kala." P. Daszyński, który w swoim czasie niemniej energicznie napiętnował szczekacza wszechniemieckiego, p. Wolfa, wykazując, że pozostaje on poprostu na żołdzie fabrykantów, nie uznał nawet za potrzebne odpowiedzieć na uwagę członka Koła polskiego, p. Jarosza, że „takie sprawy Polacy powinni w domu załatwiać, nie tutaj, przed obcymi." Mógłby był odpowiedzieć, że i owszem, skoro szlachta „wprowadzi głosowanie powszechne," a przynajmniej piątą kuryę, do sejmu autonomicznego, skoro członkowie rodziny nie będą zmuszeni stać za drzwiami własnego domu, to chętnie będą rodzinne sprawy załatwiali w domu, gdzie będą *u siebie.*

Tymczasem — doprawdy *taki* patryotyzm byłby dla kolegów p. Jarosza zbyt wygodny.

Wogóle, obrona Koła polskiego była niesłychanie słaba. Powierzyło ją ono i tym razem p. Gniewoszowi, który ma tę zaletę, iż osobiście żadnego nadużycia ani niehonorowego czynu zarzucić mu nie można. Siwy rotmistrz usiłował zawstydzić „zbyt gorącego" p. Daszyńskiego i powstawał przeciw „uogólnieniom." Filozoficzniej, że tak powiemy, ujął sprawę p. Górski, bo oświadczył, że „gdyby szlachta polska prowadziła życie rozkoszne i nie troszczyła się o dobro ludu, to może mógłby ją spotkać los arystokracyi francuskiej; ale szlachta, pełniąca swoje obowiązki i z poświęceniem stojąca na czele pracy narodowej i cywilizacyjnej, gróźb takich obawiać się nie ma potrzeby." Co to jednak znaczy dobre przekonanie o sobie samym! Po za tem spadały na oskarżyciela gołosłowne tylko zaprzeczenia — i zarzut ze strony p. Wielowicyskiego, że jest niezdolny do dania satysfakcyi honorowej. To racya: kiedy dawniej jeszcze hr. Dzieduszycki wyzwał p. Daszyńskiego na pojedynek, wyzwany odpowiedział wyzywającemu, wiernemu katolikowi: „Dla pana hrabiego pojedynek byłby grzechem, dla mnie — głupstwem." I prawdopodobnie nie chodzi mu tutaj tyle o uniknięcie losu Lassale'a, który ku cichej wdzięczności wielu mógłby mu zgotować w legalnym boju jakaś dzielna ręka szlachecka, ile o niedawanie tym, co na niego patrzą, śmiesznego przykładu francuskich obyczajów politycznych, pozwalających na obmywanie się z zasłużonego błota zapomocą — nieszkodliwej wymiany kul.

Poseł Gniewosz wyraził łaskawie przypuszczenie, że p. Daszyński dlatego jest taki „gorący," iż z „rasy" należy także do szlachty. Szlachta nie może się pogodzić z myślą, że w plebejuszu znalazła groźnego adwersarza, i chciałaby u niego przynajmniej — jak Zagłoba u Bohuna — dopatrzyć się krwi szlacheckiej. Co jej z tego przyjdzie? Jeden z wiedeńskich posłów ludowych odpowiedział p. Gniewoszowi rubasznie: „Daszyńskim wy się nie wypucujecie." Ale sam p. Daszyński odparł wzgardliwie: „Nie, na szczęście nie jestem szlachcicem." Gdyby nim był, jak mu tego koniecznie chce dowieść nie-szlachcic, ale członek Koła polskiego, dr. Kolischer, mógłby tylko powtórzyć gorzkie słowa szlacheckiego poety, który opiewał dumnych z tego, że „pod niegminną i niepodłą rodzili się gwiazdą" — mógłby za Syrokomlą powiedzieć: „Wstyd mi, żem szlachcic, że mam herb w pieczęci!"

zz.

Tydzień polityczny. D. 15 b. m. zebrały się Izby francuskie. P. Castelin czekał już z interpelacyą o politykę zagraniczną. P. Delcassé odpowiedział długą, ale chudą mową, w której prócz znanych ogólników nic nie było. Nie udał się spisek nacyonalistów na gabinet o Monisa, ministra sprawiedliwości, który jakoby odbiorców swego koniaku miał nagradzać medalami *extra*, po za seryą nagrodzonych przez jury. Wyjaśnienie rozbiło odrazu szturmujących. Walka wszakże nie ustaje. Stawił się dobrowolnie uczestnik spisku. Deroulede'a Lur-Saluces, i zażądał na siebie sprawiedliwości — oczywiście, aby wywołać wrzenie. Rząd oddał sprawę senatowi, który ją zapewne umorzy.

Wojska europejskie ustępują już z Chin. Sam nawet Waldersee powróci w czerwcu do Europy. Kontrybucya 450-milionowa pokryta ma być pożyczką poręczoną przez wszystkich, na 4%, ze słabem umorzeniem. Ale nie wszyscy się na to zgadzają, głównie brużdżą Niemcy.

D. 22 b. m. zebrały się w Wiedniu delegacye. Nazajutrz cesarz zagaił je przemową. D. 22 b. m. p. Gołuchowski miał wygłosić *expose*. — W sprawie kanałów i rzek przyszło już do porozumienia. Galicya przedstawiła żądania ujęte w ściśle określone roboty; rząd podobno je przyjmuje.

Anglicy na Malcie wprowadzają język urzędowy angielski w stosunkach z ludnością, która jest włoską. Panuje wzburzenie.

W Belgii nieporozumienie o Kongo. W lutym upłynął kontrakt, na mocy którego Belgia wprowadziła cywilizacyę, tj. drogi żelazne, stacye, osadników, wódkę, pieniądze: 360 mil. fr. belgijskich utonęło już w tej operacyi. Dawniejsza ustawa zostawiła królestwu do namysłu: wziąć na własność, albo umowę przedłużyć. Gdyby nic nie zrobiono, pierwszeństwo przy nabyciu zyskałaby z mocy układu dyplomatycznego Francya. W sejmie dwa stronnictwa, za objęciem silniejsze; król sam na jego czele. Skończy się pewno na przyłączeniu Konga do Belgii, ale przedtem będą jeszcze słoty parlamentarne.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PRZY MASZYNACH.

Wostatnich czasach pisma kilkakrotnie podawały przebieg procesów, wytaczanych ziemianom przez robotników pokaleczonych przy obsługiwaniu maszyn rolniczych. Ujawniono przytem bardzo znamienne szczegóły: maszyny umieszczane są w ciemnych kątach zabudowań, przyczem robotnik jest narażony na niebezpieczeństwo nietylko z braku światła, lecz i miejsca. Wypadki, ujawnione prze sąd, nie są pojedyncze i wyjątkowe; przybrały one charakter zjawisk powszednich i stały się klęską społeczną. Jeszcze profesor Szokalski w r. 1862 zwrócił uwagę na to i szukał środków zaradczych. Poruszył tę sprawę w warszawskiem Towarzystwie lekarskiem, które wyznaczyło komitet złożony z 6-ciu członków. Ogłosili oni odezwę do wszystkich lekarzy praktykujących w Królestwie Polskiem, a następnie do szpitalów, z prośbą o dane, dotyczące wypadków przy obsłudze maszyn rolniczych. Na skutek tego otrzymano 322 opisy wypadków nieszczęśliwych (z r. 1861 i połowy 1862). Nadesłano je z 25-ciu szpitalów powiatowych, a poniekąd i prywatnych.

Dr. Henryk Dobrzycki, opierając się na tym materyale, przedsięwziął poszukiwania w dalszym ciągu, przyczem, jako lekarz szpitala w Mieni, miał sam do czynienia z ofiarami maszyn rolniczych. Rozesłał również kwestyonaryusz do wszystkich szpitali ogólnych w kraju i zdołał zebrać materyał, który jakkolwiek pochodzi z dawnych czasów (r. 1867, 1868 i 1869), ze względu wszakże na swój charakter stały pozwala wyprowadzić wnioski, dotyczące obecnego stanu rzeczy.

Dr. Dobrzycki, uzupełniwszy swoje poszukiwania faktami i wywodami nowymi, odczytał swą rzecz na majowem posiedzeniu sekcyi rolnej i wywołał zaczątek pracy na gruncie praktycznym.

Z odpowiedzi na kwestyonaryusz okazało się, iż liczba wszystkich wypadków wynosiła 916 (przeciętnie po 305 rocznie). Niezależnie od tego autor, korzystając z innych źródeł, oblicza ogółem 1,485 wypadków.

Z zestawienia cyfr, dotyczących wieku, dr. Dobrzycki przekonywa się, że największego kontyngensu ranionych dostarcza młodzież, t. j. osoby od lat 10 do 25 i prawie tyle ludzie dojrzali, gdyż obie te kategorye razem wzięte wynoszą blizko $^4/_5$ ogólnej liczby wypadków. Co do płci, na mężczyzn wypada prawie trzy razy tyle nieszczęść, co na kobiety. Daje się to wytłomaczyć tem, że do obsługi maszyn używani są przeważnie mężczyźni.

Procent poranień śród dzieci jest stosunkowo olbrzymi: 20 na sto. „Skądże te nieszczęśliwe dzieci znalazły się w tej smutnej statystyce, skoro do obsługi maszyn ludzie pełnoletni, co najmniej 15-letni winni być używani"?

Takie pytanie zadaje dr. Dobrzycki i wyjaśnia to zjawisko w sposób następujący: Z otrzymanych korespondencyj okazało się, iż w wielu miejscach używane są dzieci do takich czynności, jak: poganianie koni, odgarnianie słomy, a nawet podkładanie zboża pod cepy lub posuwanie słomy pod walce w sieczkarni. Stwierdzono również, iż takie czynności powierzano nieraz dzieciom ośmio lub dziewięcioletnim. Młodsze zaś, mające po 6, 5, a nawet 3 lata, padały ofiarami dla tego, że matki, nie mając ich komu powierzyć, zmuszone były brać je z sobą.

Przechodząc do oddzielnych części maszyn, dr. Dobrzycki uważa za najniebezpieczniejsze tryby wogóle; jako części składowe każdej bez wyjątku maszyny, dają największą odsetkę poranień. Cepy i sztanga, czyli wał łączący, dają również znaczny procent poranień, aczkolwiek mniejszy, niż tryby. Kosy i walce, chociaż stosunkowo dają mniej poranień, są jednak również straszne. Najmniej wypadków powodują pasy, lecz za to pas koła rozpędowego daje największy procent śmierci natychmiastowej.

Maszyny rolnicze wyrządzają obrażenia pod wszelkiemi znanemi postaciami: Stłuczenia, zwichnięcia stawów, złamanie proste, powikłane, zmiażdżenie części miękich i kości rany cięte, szarpane, pęknięcie czaszki, połamanie żeber, otworzenie jamy brzusznej w jednem lub kilku miejscach, oderwanie, odcięcie lub zmiażdżenie całej kończyny albo obu razem.

Pod względem obrażeń okolicy ciała na pierwszy plan występują kończyny górne czyli ręce robotnika, ponieważ ustawicznie stykają się z częściami, w których stale tkwi niebezpieczeństwo. Dr. Dobrzycki oblicza na sumę ogólną 1,485 wypadków 841 obrażeń ręki prawej i lewej lub obu, a zatem więcej niż połowa. Na 1485 wypadków trzeba było wykonać amputacyj lub wyłuszczeń ze stawów 357, a więc prawie w jednej czwartej wszystkich wypadków.

Co do stopnia kalectwa, spowodowanego maszynami, dr. Dobrzycki przyjął trzy kategorye, dające się uzasadnić pod względem ekonomicznym. Do pierwszej zalicza tych, którzy nie są zdolni do żadnej pracy, którzy zatem są całkowicie dla społeczeństwa ciężarem (pozbawieni obu rąk, ręki i nogi, ograniczeni w ruchach z powodu blizn). Do drugiej należą ludzie, których zdolność do pracy zmniejszyła się w znacznym stopniu (pozbawieni ręki lub nogi, palców, albo w ten sposób upośledzeni przez blizny, czy też unieruchomienie członków, że wszelka praca przychodzi im z trudnością). Do trzeciej kategoryi należą ludzie, którzy padli ofiarą mniejszych obrażeń. (Pozbawienie jednego lub dwu palców, części stopy, blizny kończyn górnych, krępujące ruchy).

Stosownie do powyższego podziału, stopnie kalectw, spowodowanych przez maszyny rolnicze, przedstawiają się jak następuje: uległo kalectwu: pierwszego stopnia 550 (37%), drugiego 238 (16%), trzeciego 252 (17%), pozostało zdolnych do pracy 238 (16%), zmarło 207 (14%).

Z wykazu tego widzimy, iż więcej niż połowa wszystkich osób, uszkodzonych przez maszyny, mieści się w pierwszej i drugiej kategoryi.

Co do związku, zachodzącego pomiędzy rodzajem maszyny a liczebnością poranień, to z liczby 1485 przypada na młocarnię 947, sieczkarnię 442, młynek 36, czyli w odsetkach 60%, 30%, 4%. Największą odsetkę kalectw pierwszego stopnia powoduje sieczkarnia.

Na jeden szpital przypada przeciętnie 8 ranionych. Dr. Dobrzycki na mocy doświadczenia twierdzi, że po za obręb trzech gubernij działalność szpitala już nie sięga, że zatem jako granicę okręgu szpitala można przyjąć przestrzeń zakreśloną w promieniu trzech mil geograficznych, co równa się około 27 milom kwadratowym. Gdyby według tej normy cały kraj podzielić, to zamiast 38 okręgów potrzeba byłoby 88, aby powierzchnię kraju pokryć. Istnieje więc 50 okręgów, nieposiadających szpitala. „Ponieważ gęstość zaludnienia wiejskiego w kraju naszym — mówi dr. Dobrz — jest dość jednostajna, a z drugiej strony nie istnieje żadna zasada do twierdzenia, aby w 50 okręgach bezszpitalnych działo się inaczej, niż w 38, posiadających szpitale, więc zbliżymy się do prawdy, gdy sumę okręgów, tj. 88, rozmnożymy przez cyfrę 8, która nam wyraża liczbę nieszczęść, przypadających rokrocznie na każdy szpital.“ Powstanie stąd cyfra 704, która przedstawi ogólną liczbę nieszczęść, wydarzających się corocznie w Królestwie Polskiem w tych czasach, kiedy dane powyższe zbierał dr. Dobrzycki. Było to przed trzydziestu laty, kiedy ludność kraju wynosiła 5,780,000. Według ostatniego spisu z r. 1897, ludność Królestwa wynosiła blizko 9½ miliona. Obecnie, po uwzględnieniu przyrostu zaludnienia, cyfra ta niedaleką już jest 10 milionów. „Ponieważ ze wzrostem zaludnienia wzrastają równolegle pierwsze potrzeby życia, zatem — mówi dr. D. — wzrastać musi i wytwórczość rolnicza, która się bez maszyn obejść nie może.“ Autor więc przyjmuje, iż w miarę wzrostu ludności liczba nieszczęść, spowodowanych maszynami rolniczemi, zwiększać się musi. Jeżeli tedy przy zaludnieniu 5,780,000 było wypadków przeszło 700 rocznie, to przy 10 milionach będzie ich przeszło 1,200, tj. 120 na milion, 12 na 100,000, 1,2 na 10,000.

Cyfra powyższa nie stanowi jednak *maximum* Trzeba wziąć pod uwagę to, że dziś już jest bardzo mało gospodarstw, które się mogą obywać bez maszyn, że wzrost ruchu emigracyjnego i zarobkowego w ostatnich czasach wywołał gwałtowną dążność do zastąpienia pracy ręcznej maszynową. Te zjawiska, jak również rozwój kultury rolnej i techniki wytwórczej wywołały znaczny popyt na maszyny krajowe i zagraniczne. Oczywiście musi to wpłynąć także na wzrost wypadków nieszczęśliwych. Procent ich, jak widzieliśmy, jest wprost przerażający. Maszyna śród robotników rolnych czyni niemal takie spustoszenia, jak wojna śród żołnierzy. Istnieją wszakże środki zaradcze, któreby mogłyby w znacznym stopniu zapobiedz klęsce. Mianowicie wprowadzenie ochronników na maszynach. Są to przyrządy bardzo proste, które może wykonać każdy małomiasteczkowy stolarz, cieśla, kowal albo blacharz. Prócz tych środków ostrożności dr. Dobrzycki zaleca obowiązkowe stosowanie następujących przepisów: 1) Smarowanie maszyn w ruchu powinny spełniać oliwiarki automatyczne; gdzie zaś nie mogą one być zastosowane, należy zatrzymać maszynę w ruchu, zdjąć pas transmisyjny itd. 2) Zarzucanie pasa transmisyjnego, gdy maszyna jest w ruchu, należy powierzać jednemu roztropnemu człowiekowi, zamiast coraz to innym. 3) Ubranie ma być obcisłe, co łatwo można osiągnąć za pomocą przewiązania tasiemką rękawów i nogawek. Sukmany o szerokich połach bezwarunkowo powinny być zabronione. 4) Młodzież niżej lat 12-tu nie powinna być używana do obsługi maszyn. 5) Dopuszczenie osób nietrzeźwych do maszyny winno być jak najsurowiej wzbronione. 6) Osoby, nienależące do obsługi maszyn, a tem bardziej dzieci, powinny być bezwarunkowo usuwane z obrębu, gdzie jest maszyna czynna. 7) O ile to jest możebne, nie należy umieszczać obok siebie przy obsłudze maszyn młodych parobczaków z dziewczynami. 8) Jeżeli maszyna znajdzie się w ciemnem pomieszczeniu, jak się to zwykle dzieje, należy zaopatrzyć je w okno, aby zapewnić dostateczną ilość światła. Należy zabronić pracy przy świetle sztucznem, jak również przed świtem i po zachodzie słońca. 9) Używać do obsługi jednych i tych samych ludzi, o ile jest to możebne. 10) Nad pracującymi powinien czuwać dozorca, którego obowiązkiem jest ścisłe przestrzeganie przepisów powyższych.

W grudniu 1898 roku dr. Dobrzycki przedstawił osobiście ministrowi rolnictwa i dóbr państwa rzecz o nieszczęściach, powodowanych maszynami, i motywował konieczność zorganizowania statystyki poranień z całego państwa za ostatnie trzylecie. Zaznaczył również potrzebę wydania osobnego prawa, na którego mocy nie wolno byłoby sprzedawać maszyn bez przyrządów ochronnych, ani też sprowadzać z zagranicy bez tych środków zabezpieczających. Nadto prawo to powinno zobowiązać właścicieli do zaopatrzenia wszystkich dawnych maszyn w przyrządy ochronne najpóźniej w ciągu jednego roku. Jakoż wskutek tego przedstawienia rozesłano już w roku ubiegłym schematy odpowiednie do zbierania danych statystycznych. O stosownem prawie dotąd jednak nic nie słychać.

Niewątpliwie środki zalecane przez dr. Dobrzyckiego są bardzo ważne i zbawienne. Niezależnie wszakże od tego trzeba całą sprawę postawić na gruncie społecznym. W r. 1896 p. Jan Turski, ziemianin z Płockiego, stworzył projekt założenia kółka „wzajemnego zwracania sobie odszkodowań, wypłacanych pracownikom rolnym w razie wypadków nieszczęśliwych.“ Projekt ten, niestety, nie mógł przyjść do skutku; a jednak jest to organizacya niesłychanie ważna i potrzebna. Należałoby rozwinąć energiczne zabiegi i umotywować należycie tę potrzebę. Właśnie taka organizacya może być bardzo skutecznym bodźcem do zabezpieczenia robotników wszelkimi sposobami od wypadków. Wielu będzie tu miało na względzie nie cele humanitarne, lecz poprostu swoje interesy materyalne — unikanie strat pod postacią odszkodowań, wypłacanych poszwankowanym lub rodzinom, pozbawionym opiekunów i żywicieli.

Zasługą dr. Dobrzyckiego jest to, że wywołał delegacyę, która się zajmie sprawą przepisów, dotyczących zabezpieczenia ludzi od nieszczęść. Jest to więc już zawiązek jakiejś pracy. Oby tylko przez czas „sezonu martwego“ nie zapomniano o niej!

Zen. Piet.

Polacy w Nadrenii i Westfalii.

II.

Przed dwoma tygodniami dortmundzki *Monitor* miejscowy ogłosił dokument klasyczny w swoim rodzaju. Jest to list miłosny woźnicy tramwajowego do pokojówki, która swą obojętnością wprawiała w rozpacz biednego Romea. Julia zaś z rodu Nie-Kapuletich, nie płaciła swemu wielbicielowi wzajemnością dlatego, iż w żyłach jej płynęła szlachetna krew Cherusków i Wandalów, podczas gdy nad zakochanym młodzieńcem ciężyło przekleństwo przynależności do owej rasy paryasów, przybyszów, którzy zwą się pogardliwie „Pollacken.“ Romeo, chcąc złamać opór dziewicy dumnej ze swego rodu wysokiego, niemczyzną kaleczoną składa uroczystą przysięgę, iż wyprze się polskości i będzie w domu oraz kole znajomych posługiwał się tylko szlachetną mową niemiecką. Ten list woźnicy w swej klasycznej prostocie opowiada nam wymowniej, niż potrafiłyby to uczynić uczone rozprawy, w czem tkwi rdzeń niebezpieczeństwa etnograficznego, grożącego Polakom w Nadrenii i Westfalii. Są to małżeństwa z Niemkami, którym zwykle towarzyszy słabsze lub silniejsze zatarcie odrębności rasowej i plemienne zespolenie się z Niemcami. Wypadki tego rodzaju, które mieliśmy niejednokrotnie sposobność oglądać w Berlinie, częściej są na porządku dziennym tam, gdzie, jak w Nadrenii i Westfalii, nie dzieli Polaka od Niemca różnica wyznaniowa, stanowiąca bądź co bądź przy pewnych warunkach przegrodę społeczną we wschodniej części Prus z przeważającą ludnością ewangelicką. W prowincyach zachodnich zaś, gdzie duch religijny zachował się w swej sile pierwotnej, gdzie kościół stanowi, dzięki naciskowi ultramontanizmu, mocną spójnię społeczną, wytwarza się pewna łączność ideowa i kulturalna polsko-niemiecka, która sprzyja kojarzeniu się małżeństw różnoplemiennych, zwłaszcza gdy w sercach polskich słabiej tętni świadomość antagonizmu i różnicy rasowej. Któż jednak w prowincyach wspomnianych potrafi okiem Argusa czuwać nad poczuciem narodowościowem Polaków i budzić je, gdy wpada w drzemkę albo, jak obecnie, w letarg?

Przyjrzyjmy się opiekunom i instytucyom organizacyjnym Polaków nadreńsko-westfalskich. Gdy wyrobnik polski przywędrował w sukmanie chłopskiej na obczyznę, to przylgnął oczywiście przedewszystkiem do księdza. Duchowieństwo niemieckie z przyjemnością niekłamaną uchwyciło wyciągniętą do niego dłoń obcą, szukającą oparcia, nie tyle z altruizmu, ile z obawy, iż ową rękę żylastą zaczną ściskać po bratersku ludzie przewrotu i zgubią nieodwołalnie grzeszną jego duszę. Oprócz tego w tym właśnie czasie, kiedy ukazały się pierwsze polskie jaskółki emigracyjne, centrum katolickie wyrobiło sobie pozycyę polityczną.

Dla wzbudzenia zatem zaufania w przybyszu niektórzy księża niemieccy zaczęli nawet uczyć się języka polskiego, ażeby mową łamaną zaszczepiać tem gruntowniej w duszy jego uczucia religijne i miłość bezgraniczną do swych opiekunów. W istocie, wszyscy Polacy ugrupowali się wkrótce dokoła sztandaru ultramontańskiego, pod którym stoczyli zwycięsko niejedną bitwę wyborczą ku chwale centrum. Lecz lata parcia i burzy minęły. Centrum zdobyło przebojem twierdze rządowe i zapanowało wszechwładnie w Nadrenii i Westfalii. Polacy tak dalece przywiązali się do księży, iż wszelkie obawy zdrady partyjnej okazały się płonnemi. Wtedy oczywiście zapał słomiany przeminął, a księża niemieccy wyzbyli się prędko uciążliwej zachcianki torturowania swego języka barbarzyńską mową polską, tem bardziej, iż Westfalczycy w przeciwieństwie do obywateli prowincyi nadreńskiej nie grzeszyli nigdy kosmopolityzmem. Ten więc ksiądz niemiecki z pewnością nie jest powołanym do tego, aby stać na straży uczuć narodowych robotnika polskiego, a wszelkie wybujania będzie usiłował stłumić jako przewrót, grożący osłabieniem powagi duchowieństwa ultramontańskiego. Pomimo to Polacy ważyli się niejednokrotnie żądać dla siebie księży polskich. Władza zdobywszy się raz jeden, zdaje się, na następstwo, zaniechała swych zamiarów, widząc, iż pomiędzy księdzem polskim a jego gminą zadzierzgają się zbyt ścisłe węzły. Chciano wywrzeć na sfery decydujące nacisk za pomocą podań wysyłanych do Monasteru Paderborna i kolonii, ale dotychczas przemawiał tylko dziad do obrazu, obraz zaś do dziada jeszcze ani razu. Niestety, wpływ księży niemieckich, jak łatwo się domyślić, wykracza po za szranki opieki duchownej. Przedewszystkiem

zaś dlatego, że towarzystwa polskie, jedyne instytucye, które mogłyby stać na straży ducha narodowego, tulą się pod skrzydła duchowieństwa. Każde towarzystwo uważa za obowiązek powołać na urząd prezesa honorowego księdza, oczywiście Niemca. Jeżeli prezes ten nawet nie rozciąga kontroli nad cenzusem patryotycznym towarzystwa, to już sam takt towarzyski nakazuje prostaczkom nie obrażać uczuć swego męża opatrznościowego. Przychodzą tedy na zebrania stowarzyszenia Polacy w towarzystwie swych żon Niemek i prowadzą pomiędzy sobą rozmowę w najlepsze po niemiecku, zwłaszcza jeśli prezes honorowy raczy we własnej osobie wziąć udział w pogawędce. Czegóż się tu dziwić, iż w tych umysłach ideowo dziewiczych zakorzenia się głęboko przekonanie, że są z dziadów pradziadów „Deutsch-Katholiken" i że Sobieski był „Prusakiem"? Myśl godna naszego przyszłego historyka, ministra Miquela, który, jak wiadomo, ma się obecnie poświęcić badaniom dziejów Polski. Zdarzały się nawet wypadki, iż towarzystwa polskie łączą się nawet z szowinistycznemi i w najwyższym stopniu polakożerczemi „Kriegesvereinami" (towarzystwami emerytów wojsk). Towarzystwa polskie są skrępowane i sparaliżowane obecnością i wpływami swych prezesów honorowych, którzy nigdy nie zdołają się wznieść do poziomu bezstronności, a w większości wypadków rozmyślnie lub nieświadomie pracują w winnicy germanizacyi. Są to fakty, których nie trzeba dowodzić. Wypadki wynikłe niedawno w innych dzielnicach Prus, zbyt wyraźnie ilustrują ten fakt. Prawie wszędzie księża niemieccy energicznie występują przeciwko zakładaniu towarzystw polskich, albowiem, zdaniem ich, zupełnie niepotrzebnie współzawodniczą z instytucyami katolickiemi. Germanizatorowie zresztą w sutannie stracili swe bezwzględne zaufanie do owieczek polskich, od kiedy wyszło na jaw, iż Polacy nie chcą dla dobra sprawy ultramontańskiej rozpuścić się w morzu niemieckości. Tak się ma sprawa z niemieckimi stróżami-aniołami. Przyjrzyjmy się opokom polskim, wzniesionym dla odparcia i powstrzymania nawały niemieckiej.

Prasę rdzennie polską reprezentuje w prowincyach, o których tu mowa, *Wiarus polski*. Pismo to otrzymało z rąk założyciela swego, księdza Lisa, chrzest religijny i zachowało charakter ten po dzień dzisiejszy, pomimo przejścia na własność osób świeckich. Wskutek tego dokonało w obozie polskim Nadrenii i Westfalii rozłamu, powodując niefortunną „secesyę" Mazurów. Ci zaś, będąc wyznania ewangelickiego, nie mogli popierać pisma stojącego na stanowisku wyłącznie wyznaniowem i atakującego inowierców dość bezwzględnie. Właśnie tych kilka tysięcy Mazurów nie należało zrażać, lecz przeciwnie, trzeba było przywiązać tolerancyę do pnia macierzystego, od którego odłączają się na mocy okoliczności natury odśrodkowej. Trzeba wziąć do ręki ostatni kalendarz Mazurów, ażeby zrozumieć, jaki mur nieporozumień wyrósł pomiędzy nimi a ludnością polską. Ostatni rocznik kalendarzowy np. obwołuje Bismarcka największym mężem wszystkich czasów i wszystkich krajów, a ludność polską tytułuje najzaciętszym wrogiem Mazurów. Cóż dziwnego, że fanatyczny *Wiarus polski* nie trafił na tor właściwy, mogący zjednać Mazurów, miast ich odstraszyć. Lecz niezależnie od tego kierunek *Wiarusa polskiego*, jako osnuty na tle wyznaniowem, należy uważać za chybiony.

Sprowadzanie wszystkiego do katolicyzmu, jako do jednego wspólnego mianownika, wytwarza niezmąconą solidarność z katolikami niemieckimi. Dopóki ci zwalczali rząd pruski i brali sobie jako tako do serca sprawę polską, dopóty ze względów taktycznych takie wysuwanie na plan pierwszy odrębności wyznaniowej względem ciemięzców pruskich miało racyę bytu. Dziś, gdy rząd pruski składa się w połowie z katolików, kiedy się projektuje nawet przekształcenie dworu berlińskiego w duchu pożądanym dla centrum, kiedy ono stało się żądnem tylko władzy, lecz nie sprawiedliwości, łączenie interesów polskich i niemieckich pod hasłem jedności religijnej prowadzi do wyników najzgubniejszych oraz utrzymuje roboczą ludność Nadrenii i Westfalii w ciemnocie i głupocie, zarówno społecznej, jak i narodowej. *Wiarus* jest organem urzędowym „związku Polaków w Niemczech" organizacyi bojowej polskiej diasfory i jako taki oczywiście nadaje mu piętno swe lub też otrzymuje od „Związku" swój stempel. Czemże jest ów słynny Związek? Pragnąłby być wszystkiem a jest zupełnem zerem. O jego dobrych chęciach i uniwersalnych nabożnych życzeniach dowiadujemy się z ustawy napuszonej pretensyonalnością, pewnym despotyzmem, fanatyzmem stronniczym. O jego nicości zaś świadczy fakt, iż nigdy nie stawiał żadnej kwestyi na ostrzu noża, w żadnej sprawie poważnej nie zabierał głosu decydującego i wogóle dotychczas nie wywołał żadnego wpływu na miejscowy ogół polski. Ustawa za to sypie piasek w oczy każdem słowem. Czegóż by nie chciał „Związek"! Ma on szerzyć znajomość języka polskiego i przyczyniać się do podniesienia oświaty. Nikt nie potrafiłby wskazać, czem zaznaczył tu Związek swą działalność. Ma on starać się o księży polskich. Dotychczas tylko obiecanki — cacanki i to bardzo liczne, niedotrzymane dotychczas wszakże ani razu. Wspomnianego wyżej księdza Lisa przeprowadzono bardzo prędko do Prus zachodnich z powodów wiadomych władzy, lecz łatwo zrozumiałych i dla ogółu polskiego. Ustawa Związku zwołuje pod jego sztandar wszystkich Polaków Rzeszy niemieckiej w ogólności, lud roboczy zaś Nadrenii i Westfalii, Hanoweru i Saksonii w szczególności. Tymczasem obejmuje on bardzo szczupłą liczbę członków, stanowiącą nieskończenie mały ułamek setek tysięcy Polaków, zamieszkujących wspomniane okolice. Wszak sama Westfalia liczy 200 tysięcy Polaków. Do programu „Związku" należy między innemi zwoływanie wieców polskich. Zadanie to spełnia również bardzo licho. O napiętnowaniu stanowczem małżeństw z Niemkami, o kierownictwie umysłowem, moralnem i społecznem, do którego rości sobie pretensye, nic a nic nie słychać. Za to bojkotuje społeczników i na tem koniec.

H.

ALKOHOLIZM I WALKA Z NIM.

IV.

Przeszliśmy do rozpatrywania różnych środków walki z alkoholizmem. Przedewszystkiem nasuwa się tu kwestya walki z istniejącymi już objawami, zapobiegania szkodliwym dla otoczenia czynom alkoholików i leczenia ich. W nauce współczesnej, zarówno medycznej, jak prawnej, coraz bardziej ustala się pogląd, że alkoholików należy traktować nie jako przestępców. Karanie ich więzieniem itp. do niczego nie prowadzi— mówią wyraźnie prof. doktorzy Fritsch, Legrain i inni — ale trzeba ich uważać za chorych umysłowo pewnej specyalnej kategoryi. Dlatego np. nowy kodeks cywilny niemiecki zawiera już przepisy, pozwalające oddać alkoholika, zupełnie jak małoletniego, pod kuratelę, jeżeli zagraża spokojowi otoczenia lub dobrobytowi swej rodziny. Dlatego projekt nowego szwajcarskiego kodeksu kryminalnego zawiera paragraf, pozwalający sędziemu zamiast, jak dotychczas, skazywać pijaka-przestępcę na więzienie, oddać go, po zasięgnięciu opinii lekarskiej, do zakładu leczniczego na dwa lata najwyżej, ponieważ praktyka dowodzi, że to jest najdłuższy termin, potrzebny do wyleczenia pijaka uleczalnego. Byłoby to, powiada prof. dr. Stooss, korzystniejsze dla państwa nawet z punktu widzenia finansowego, niż utrzymywanie więzień. Cały szereg takich zakładów leczniczych reprezentowali na kongresie ich dyrektorowie. Ze specyalnych referatów i rozpraw tych przedstawicieli zanotuję tu ostrą krytykę, jakiej prof. Forel, sam dyrektor takiego zakładu w Szwajcaryi, poddał sposób postępowania dyrektora dolnoaustryackich zakładów dla chorych umysłowo, dr. Tilkowsky'ego. Wypuszcza on alkoholików z zakładu, skoro tylko ustąpią zewnętrzne objawy choroby, i nie przyjmuje recydywistów, uważając ich za oszustów, którzy chcą żyć na koszt skarbu. Dr. T. postępuje tak głównie dlatego, że Dolna Austrya nie chce zbyt dużo wydawać na swój zakład; ale skutek jest tylko ten, że alkoholicy przedwcześnie wypuszczeni zaludniają potem więzienia, skazani za rozmaite przestępstwa. Dyrektor zakładu w Münsterlingen w Szwajcaryi, dr. Frank, sformułował szereg zasadniczych żądań, którym powinno odpowiadać dobre prawo o pijaństwie; żądania te, częściowo urzeczywistnione w prawie kantonu St. Galleńskiego, mają być zastosowane w prawach Bazylei i Turgowii, a zatwierdzone zostały przez zgromadzenie psychiatrów szwajcarskich w Bellelay d. 5 czerwca 1900 r. Oto ich główna treść: Pijacy są to chorzy, lecz nie przestępcy; prawa o nich nie powinny nosić charakteru policyjnego; decydowanie powinno należeć do władz czysto sanitarnych. Należy oddzielać pijaków uleczalnych od nieuleczalnych; dla każdej kategoryi powinny być osobne zakłady. W każdym razie i nieuleczalni, jako chorzy, nie powinni być oddawani do domów karnych. Jednak jeżeli alkoholik uleczalny nie wstępuje dobrowolnie do zakładu leczniczego, to może być wzięty do niego przymusowo, na żądanie krewnych, opiekunów, władz gminnych lub wszelkich innych, za decyzyą władzy lekarskiej i nigdy na dłużej, niż 6—18 miesięcy. Przytem przed użyciem tego środka alkoholik powinien otrzymać ostrzeżenie: nieraz może ono spowodować poprawę, wyleczenie. Wstąpienie lub wzięcie do zakładu leczniczego ogranicza wolność i zdolność prawną tylko w tym stopniu, w jakim wymaga tego sama kuracya, a tylko wyjątkowo ma być stosowana kuratela. Koszty procedury i leczenia, a w razie potrzeby — i pomocy rodzinie, pozbawionej przez nieobecność opiekuna środków utrzymania, powinny być pokrywane w części lub w całości z dochodów państwa, czerpanych z alkoholu. Zakłady dla nieuleczalnych muszą mieć charakter państwowy; ale lecznice dla uleczalnych nie powinny mieć charakteru państwowego, ani — jak dodaje dr. Wlassak— kościelnego, lecz najlepiej niech będą prywatne, a rząd powinien, oczywiście, kontrolować je i poprawiać. To bowiem ułatwi im stałe stosunki z towarzystwami wstrzemięźliwości, które są niezbędnem dopełnieniem lecznic; bez nich alkoholik uleczony wchodzi w środowisko pijące i przez fałszywy wstyd lub słabość popada w dawny nałóg, staje się recydywistą i w końcu nieuleczalnym.

Wszelkiego rodzaju stowarzyszenia wstrzemięźliwości i jej zwolennicy byli, oczywiście, licznie reprezentowani. Nie brakło nawet różnych wrogów medycyny, „lekarzy naturalnych," jak pp. Kanitzar, Schnitzler, Dellatone, którzy napadali nietylko na alkohol i jego użycie w medycynie, ale i na szczepienie ospy i na całą naukę medyczną: ci dostali odprawę energi-

czną od prof. Forela, który oświadczył, że ich fanatyzm kompromituje sprawę walki z alkoholizmem. Jak wiadomo, działacze przeciw alkoholizmowi dzielą się na dwa wielkie obozy: na „umiarkowanych," którzy zwalczają nadużycia pijackie, ale uważają za dozwolone picie w małych ilościach, jeśli nie wódki, to napojów fermentowanych, jak wino, piwo itd., i na absolutnych „abstynentów," którzy nie biorą do ust kropli żadnego alkoholu. Sądząc z kongresu, należy wnosić, że ten drugi absolutny kierunek coraz bardziej przeważa. Nikt go już nie ośmiesza; ma on między lekarzami bardzo licznych zwolenników. Prof. Forel uzasadniał jogo wyższość w specyalnym referacie; główne motywy tego uzasadnienia, oprócz wspomnianych już wyżej, w pierwszej części niniejszego artykułu, są: że alkohol nie jest nigdy i w żadnej formie nieszkodliwym, chyba w tak małych dozach (do 5 centymetrów sześciennych), że ich użycie nie sprawia żadnej absolutnie przyjemności, a szczególnie, że tylko hasło zupełnej abstynencyi ma dość wyrazistości, aby oddziaływać na masy; tylko bezwzględne zobowiązanie może wyleczyć pijaka: „umiarkowanie" nie ma granicy, każdy uważać się zawsze będzie za umiarkowanego i wpadnie niepostrzeżenie w pijaństwo.

Podczas pierwszego ruchu antyalkoholicznego w Niemczech, od r. 1838 do 1848, oba kierunki toczyły z sobą zacięte boje, co przyczyniło się do zupełnego upadku ruchu nie mniej może, niż niechęć rządów po r. 1848 do wszelkiej organizacyi i inicyatywy prywatnej. Pomimo to oba te kierunki mogą zgodnie współdziałać w wielu wypadkach: przy zakładaniu herbaciarni, oddziaływaniu na prawodawstwo, ogólnem podnoszeniu dobrobytu ludu itd.

Ze stowarzyszeń alkoholicznych były reprezentowane na kongresie: t. zw. zakon „Błękitnego krzyża," z charakterem religijnym, założony przez księdza szwajcarskiego, Rochat. Ma on obecnie w Szwajcaryi i Niemczech południowych do 30,000 członków, w tej liczbie 9,113 wyleczonych pijaków: założył w Szwajcaryi od lat 25 około 400 restauracyj bez alkoholu. Dalej były reprezentowane: niemiecki katolicki ruch, kółka związane z organizacyą „Charitas," zakon t. zw. „Templaryuszów dobra" (Guttempler); kółka niemieckie robotniczo-radykalne; ligi francuskie i belgijskie, belgijski Związek kobiecy przeciw alkoholizmowi. Związki lekarzy abstynentów istnieją w Anglii, Ameryce, Niemczech. Ruch ten ma liczną już specyalną prasę w różnych językach. W Niemczech istnieje od r. 1896 związek nauczycieli-abstynentów; w Anglii działają t. zw. „Bond of Hope" — są to stowarzyszenia młodzieży szkolnej, która zobowiązuje się nigdy nie pić napojów alkoholicznych, jest ich 28,540 z 3½ milionami członków. Oczywiście do tych związków są przyciągane dzieci i młodzieńcy, różnymi środkami pomocniczymi i wspólnemi zabawami, kasami wzajemnej pomocy itp. Takież grupy zaczynają powstawać w gimnazyach francuskich. Wogóle kilku referentów zaznaczyło konieczność wpływania na młodzież w kierunku antyalkoholicznym. Nauczyciele powinni koniecznie sami dawać przykład zupełnej abstynencyi; w seminaryach nauczycielskich powinny być wykładane szkodliwe skutki alkoholu. Wilhelm Frei, nauczyciel szkoły realnej na wsi w Ilsenburgu, stwierdza, że młodzież gimnazyalna niemiecka, pod wpływem studentów, pije potajemnie bardzo dużo, a co do środków zaradczych — widzi on je tylko w ogólnej reformie szkoły, wprowadzeniu sportów, stowarzyszeń, zajęć; kary na nic się nie przydadzą, bo — formułuje p. Frei zasadę pedagogiczną: „młodzieży trzeba koniecznie pokazać, co ma robić zamiast tego, czego się jej zakazuje."

Tu już widzimy, jak prywatny ruch antyalkoholiczny sam dochodzi do uznania, że jest niewystarczającym. Rzeczywiście, w Anglii np., gdzie ruch ten jest najdawniejszy, prowadzony od lat 60 z wielką wytrwałością, gdzie organizacye wydają do 1½ miliona franków rocznie — osiągnięto liczbę członków-abstynentów 7 milionów, w czem połowa dzieci. Zatem $^3/_4$ ludności pozostaje zupełnie po za propagandą — i spożycie alkoholu ciągle wzrasta. Ludność robotnicza np., według obliczenia pani Sidney-Webb, z 500 milionów funtów sterl., które stanowią jej roczny dochód, do 70 mil. wydaje na alkohol. Po 25 latach propagandy—powiada Canderlier—Szwajcarya liczy mniej więcej na 100 mieszkańców 1 abstynenta, Francya i Niemcy 1 na 1,000, Belgia 1 na 10,000 może... Cóż to znaczy? Ta propaganda nie może objąć mas w dzisiejszym stanie ich dobrobytu i oświaty. Jeżeli groźna plaga ma być zwalczona rychło i jako tako skutecznie, to niezbędna jest interwencya państwowa.

Ministeryum wojny przypada tu zadanie nie mniej ważne, niż ministeryum oświaty. We Francyi minister wojny, generał André, wydał szereg rozporządzeń, rugujących wódkę z kantyn przy koszarach, na manewrach, w obozach itd., oraz cyrkularze, zachęcające oficerów do dawania dobrego przykładu wstrzemięźliwości żołnierzom. W Rumunii jeszcze przedtem minister, gen. Borosteanu, wydał podobne rozporządzenia. W innych państwach nie zrobiono jeszcze kroku w tym względzie; jedynie w Bawaryi powstaje towarzystwo oficerów-abstynentów. Co do Rosyi, to ze sprawozdania dr Mich. Niżegorodcewa, prezesa komisyi do badania alkoholizmu przy rosyjskiem Towarzystwie sanitarnem, dowiadujemy się, że na wniosek tej komisyi sztab generalny odpowiedział: a) z programu nauki dla żołnierzy usunięto punkt „o pożytku umiarkowanego używania napojów alkoholicznych," a zastąpiono punktem „o szkodliwości używania alkoholu"; b) do pokarmu wchodzi na stałe herbata; c) urządzone będą dla żołnierzy czytelnie i rozrywki. Natomiast p. minister wojny, zgodnie z opinią sztabu generalnego, wypowiedział się przeciw zniesieniu racyi wódki w święta oraz przeciw zakazowi sprzedaży alkoholów w kantynach i wprowadzaniu ich do koszar.

(D. n.).

K. Radosławski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Szczególny dar.

Dziwnie nieszczęśliwi są nasi arystokraci w filantropii. Bo jeżeli nawet który z nich pokona skąpstwo i uczuje chęć złożenia jakiejś ofiary na ołtarzu potrzeb publicznych, to zwykle wybierze taką, która jest najmniej pilną. Oto znowu hr. Michał Tyszkiewicz z Andruszówki zapisał Towarzystwu zach. sztuk pięknych 18,000 rb. pod warunkiem, ażeby ono zakupiło i utrzymywało w Nervi (we Włoszech) lub w pobliżu tego miasta willę na mieszkanie dla chorych artystów, którym zalecono pobyt na Południu. Dopiero gdyby takie kupno nie przyszło do skutku, procenty od kapitału mają być przeznaczone na stypendya artystyczne kandydatom, pragnącym wyjechać do Włoch.

Bez wątpienia, jest w tej ofierze wyraźny znak dobrej woli, ale jakże ona zdradza nieznajomość życia, którego rzeka płynie po za granicami arystokracyi dziedzicznej! Jak tu wyłazi wielkopański pogląd na świat! Bogaty patryocyusz, rozmyślając nad potrzebami naszych artystów, nie dostrzega pilniejszej nad tę, ażeby niektórzy z nich, chorzy, mogli przez jakiś czas pomieszkać w ładnej willi pod Nervi i żąda od Towarzystwa w Warszawie, ażeby ono zarządzało nią we Włoszech. A czy szczęśliwy pacyent będzie miał co jeść w tej willi — nad tem fundator wcale się nie zastanawia, bo może będąc dzieckiem, pytał również, jak mała księżniczka francuska: „czy to prawda, że są ludzie głodni?" Niech już lepiej dla honoru darowizny i jej pożytku owa „villa Tyszkiewicz" (tak miała się nazywać, żeby obdarowani pamiętali o dobrodziejach) nie ozdobi okolic Nervi.

Figle pioruna

Że ten podpalacz i morderca popełnia najstraszniejsze zbrodnie — wiedzieliśmy; ale że on jest zdolny w swym bezwstydzie dopuszczać się szpetnych i niemoralnych figlów — o tem pouczył nas dopiero *Wędrowiec*, jakoby poinformowany przez Flammariona. Posłuchajcie tylko:

W Sollies-Pont kilku ludzi zasiadło do śniadania. „Wtem wpada piorun, *zabiera* chleb, ser i owoce, leżące na stole, przewraca butelki z winem (antyalkoholik!), a dwu ludzi pokrywa słomą."

W Nantes jakiś podróżny szedł sobie wybrzeżem, a miał w kieszeni portmonetkę, w której znajdowały się dwie monety srebrne i osobno jedna złota. Nagle otacza go olbrzymia błyskawica, która (zapewne roześmiawszy się) wkrótce zniknęła. Ale on, wróciwszy do domu, spostrzega, że w portmonetce są trzy pieniądze srebrne. Cóż się stało? Oto piorun zebrał warstwę srebra z wąsa twarzy Napoleona III na sztuce jednofrankowej, przeniósł ją do drugiej przegródki w portmonetce i pokrył nią monetę złotą. To magik!

Gdzieindziej wpadł do chaty, zerwał z kuchni rądel i przeniósł go na środek izby a klucz ze drzwi ukrył pod kredens.

W Beugnon znowu, podczas burzy, piorun pod postacią kuli ognistej „ukazuje się na szczycie topoli, schodzi z gałęzi na gałąź, spada na ziemię i toczy się po niej do podwórza, jakby szukając drogi między kałużami wody." Przed oborą siedziało dwoje dzieci: jedno z nich dotyka go nogą. Rozgniewany wybucha i zabija — nie dzieci — ale 11 sztuk bydła w oborze.

Dla stopienia złota potrzebna jest temperatura 1030°, srebra 954°, miedzi 940°. I co powiecie, że ten łotr stopił jednej kobiecie kolczyk w uchu, a drugiej łańcuszek na szyi, nie oparzywszy żadnej.

Umie on także zapalać i gasić lampy, zdejmować buty itd.

Wszystkie te i tym podobne psoty, których *Wędrowiec* przytacza więcej, dowodzą zepsucia, rozkiełznania, złośliwości; ale zdarzają się wypadki jeszcze gorsze, świadczące o zuchwałym cynizmie rozpustnika. Do jednego z kościołów paryskich wpada piorun i, nie bacząc na świętość miejsca, „pali pończochę na nodze jakiejś panny."

Gdzieindziej rzucił się na trzy żniwiarki: starą zabił, dwie zaś młode „przewrócił i rozebrał. Wstały—jak zapewnia sprawozdawca — nagie, ale zdrowe i utatuowane."

Tu jeszcze nie kres jego bezeceństw.

Pod Pawią na łące bawiły się dzieci. „Wtem nadleciał piorun (pod postacią błyszczącej kuli). Zaczął on się kręcić około piętnastoletniej (a, niepońl) dziewczynki, dotknął jej nóg, wsunął się pod spódnice, które rozszerzyły się jak parasol, doszedł aż do piersi i wysunął się małą dziurką, którą wypalił w staniku, nie czyniąc nic złego przerażonemu dziecku."

Wobec tych dowodów trudno wątpić, że jest on zdolny również uczynić „coś złego,"

że nie cofa się przed gwałtem i że miałby na sumieniu, gdyby je posiadał, niejedną ofiarę, tem nieszczęśliwszą, że nieznającą nawet sprawcy swojej krzywdy.

Niestety, ani w prawach, ani w środkach zapobiegawczych i karnych nie mamy sił i sposobów do ubezpieczenia się przeciwko temu zwyrodniałemu Jowiszowi. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak tylko przez wdzięczność za ostrzeżenie życzyć redakcyi *Wędrowca*, ażeby.... trzasł w nią piorun i nic zrządziwszy jej żadnej innej szkody, zapalił lampkę olejną w jej głowie.

Mandataryusze społeczni.

Korespondent łódzki *Kuryera codziennego* podaje następującą notatkę: „Niejednokrotnie wzmiankowaliśmy o przeciążeniu niektórych jednostek w naszem mieście mandatami społecznymi, zaznaczając, że skutkiem tego jednostki owe nie są w możności wypełnić należycie włożonych na siebie obowiązków. Weźmy dla przykładu choćby p. Ludwika Meyera, który jest radnym magistratu, członkiem zarządów kilku instytucyj kredytowych, kasyerem tutejszego oddziału „Czerwonego krzyża," członkiem zarządu gminy ewangielickiej, prezesem rady zarządzającej straży ogniowej ochotniczej itd., nie mówiąc już o tem, że pod osobistym jego kierunkiem pozostaje zarząd dużej fabryki, kilkunastu domów, sporego majątku ziemskiego i największego hotelu w mieście." Protesty tego rodzaju ujawniają się coraz częściej. Dowodzą one, że społeczeństwo coraz dotkliwiej odczuwa całą jałowość pracy swoich wszechstronnych mandataryuszów. Prosta logika mówi, że człowiek piastujący kilka lub kilkanaście urzędów, chociażby posiadał największą energię, olbrzymie zdolności i wysoce rozbudzone poczucie dobra społecznego, nie może przynosić pożytku instytucyom, nad któremi czuwa. Musi on z konieczności posługiwać się dziesiątkami pomocników, musi zalegać w przeprowadzaniu spraw najpilniejszych i tem samem paraliżować działalność instytucyj. Skutkiem tego ludzie zdolni i szczerze przejęci poczuciem dobra społecznego, nie mają pola do pracy pożytecznej i muszą być tylko pionkami, zniechęconymi do pracy. To też do pocieszających objawów zaliczyć należy coraz częstsze protesty ogółu w tej sprawie.

Agitacya wyborcza.

Przed ogólnem zgromadzeniem Towarzystwa kredytowego m. Warszawy, śród członków tej instytucyi rozeszły się setki biletów wizytowych. Na jednej stronie było imię i nazwisko osoby, na drugiej napis: „kandydat na członka zarządu po zmarłym X." Pomimo że tych biletów rozdano podobno 2,000, kandydata nie powołano na to stanowisko, o które tak się ubiegał. W tych dniach odbyło się zebranie reprezentantów warszawskiego Towarzystwa pożyczkowo - oszczędnościowego. I oto ten sam kandydat, który doznał porażki w jednej instytucyi, rozpoczął agitacyę w drugiej, ale już za pomocą innych dróg. Po sali krążył list, z którego podajemy charakterystyczny wyjątek: „...Nadmieniamy, że instytucya nasza, jeszcze zbyt młoda, potrzebuje doświadczonego i sprężystego kierownika dla wyprowadzenia jej na dobre tory, dla stworzenia własnej siedziby, że człowiek, który raz już umiał powołać instytucyę do życia, obudzić energię do czynów, stworzyć zakładowy kapitał, posiadać może bez zaprzeczenia więcej doświadczenia, aniżeli każdy inny nowicyusz, potrzebujący zbyt długiego czasu do obznajmienia się z biegiem interesów. Po takiem określeniu przejrzystej sylwetki męża pełnego zasług, przyjaciele jego dodają: „*Nie narzucamy nikomu* kandydata, unikając w tym względzie *agitacyi wyborczej*; niech *niczem niekrępowana* wola w imię sprawie lliwości i własnego sumienia podyktuje wybór prezesa do naszej instytucyi."

O Cezikū.

Od p. Jana Olechowicza z Tomska otrzymaliśmy list następujący:

W nr. 9 *Prawdy* w artykule o J. Ceziku spotkałem się z myślą o sprowadzeniu do kraju jakichkolwiek wyrobów tego niezwykłego artysty. Otóż spieszę donieść, żem dawno myślał zaznajomić społeczeństwo nasze z osobą Cezika, tem bardziej, że prócz wzmianki o nim w dziełach Maksimowa, miałem sposobność zaczerpnąć wiadomości od ludzi znających go osobiście, tudzież oglądać jego wyroby. Nie uczyniłem jednak tego jedynie z tej przyczyny, że obawiałem się, iż mój głos z wielu względów mógłby przejść bez echa. Czekałem, aż się odezwie ktoś z ludzi poważnych.

Dziełami Cezika przyozdobione jest tu niejedno z muzeów, ale i osoby prywatne posiadają wiele jego wyrobów, które bodaj należą do najudatniejszych i najpiękniejszych. Ze znanych mi w Tomsku do najlepszych z cechą prawdziwego artyzmu zaliczyłbym urnę w stylu starożytnym. Prócz prześlicznych liniowych przyozdobień artysta na polach stron zewnętrznych, wolnych od tego rodzaju upiększeń, wyrzeźbił w kilkunastu obrazach całe życie człowieka od kolebki do mogiły. Urna ta znajduje się u p. Kuzniecowa, bibliotekarza uniwersytetu miejscowego. Nabył on ją w jakimś sklepiku *rozmaitości* za trzy ruble! Jednakże, jak opowiadał mi p. Kuzniecow, ze wszystkich wyrobów Cezika, jakie zdarzyło mu się oglądać, najwyżej stoi pod względem delikatności, doskonałości roboty i pomysłowości domek wiejski, polski, z pajączkiem w zawieszonej nad okienkiem pajęczynie. Arcydzieło to, jak utrzymuje p. Kuźniecow, znajduje się w posiadaniu wdowy po byłym kuratorze okręgu naukowego Syberyi zachodniej, p. Floryńskiej, zamieszkałej obecnie w Moskwie. Możeby ktokolwiek z Polaków tamtejszych mógł zbadać tę rzecz na miejscu bliżej.

W Syberyi u rozmaitych posiadaczów znajduje się wiele wyrobów Cezika. Czy jednak udałoby się cokolwiek nabyć — nie wiem. Nie będąc pewnym, czy ktoś myśli o tem, nie nagabywałem nigdy nikogo w tej mierze.

Myśl Posła Prawdy o sprowadzeniu do kraju cząstki tych prawdziwych arcydzieł ze wszechmiar zasługuje na uwagę i poparcie, tem bardziej, że nasza sztuka plastyczna nie wzbiła się do wyżyn i nie ma gwiazd.

BADANIA NAUKOWE.

OŚWIETLENIE W PRZYSZŁOŚCI.

Od dwudziestu lat wre walka na śmierć i życie pomiędzy gazem, który w ciągu XIX wieku zapanował wszechwładnie na ulicach wielkomiejskich i w gmachach publicznych, a nawet wdarł się do mieszkań prywatnych, rugując z nich naftę i świecę — a elektrycznością, jego młodą współzawodniczką. Konkurencya powstała w chwili, gdy na rynkach zjawiła się prosta, praktyczna i hygieniczna lampka żarowo - węglowa Edisona, Swana i ich naśladowców; nowe światło dla swej barwy, zbliżonej do barwy zwyczajnego płomienia, dla swej stałości i innych ważnych zalet, znalazło licznych zwolenników i akcye zakładów gazowych zaczęły spadać z zastraszającą dla ich właścicieli szybkością. Gaz, zaskoczony na laurach, ujrzał się zepchniętym na dalszy plan i ponosił los, będący zwykle udziałem powag zmartwiałych w swym rozwoju.

Działo się już bardzo źle, gdy wtem zjawił się zbawca w osobie Auera Welsbacha, który ustępującemu z pola zapaśnikowi dał w rękę nowy, potężny oręż i pozwolił rozpocząć napół przegrany bój na nowo. Bronią tą było światło gazo-żarowe. Auer, drogą sumiennych badań i wspierając się na licznych poprzednikach, wynalazł cienkie koszulki z soli toru i ceru, które w bladym płomieniu bunzenowskim rozpalają się do jasnej białości i dają nadzwyczaj przyjemne dla oka zimnej, zielonkawej barwy światło, wypadające dwa do trzech razy taniej od zwyczajnego gazowego.

Wynalazek Auera rozpowszechnił się bardzo szybko i uratował zakłady gazowe od ruiny ekonomicznej, gdyż pobił lampkę elektryczną Edisona. Ma on nad nią dużą przewagę; przedewszystkiem nie potrzeba było zakładać stacyj centralnych i przewodników; nowe światło zużytkowało stare latarnie gazowe, rury i urządzenia; zmianie uległy same palniki, przytem system Auera dostarczał tańszego światła, a w dzisiejszych czasach taniość decyduje. Wprawdzie gaz zanieczyszcza zawsze powietrze produktami spalenia, podnosi temperaturę, grozi wybuchem, koszulki cerotorowe są delikatne i trwają stosunkowo krótko, ale te zalety okupują wady.

Właściciele akcyj gazowych odetchnęli, nie zaniedbawszy złotem obsypać swego wybawcę, Auera von Welsbacha.

Aliści niebawem okazało się, że p. Welsbach jest człowiekiem niebezpiecznym; zamiast używać mozolnie zdobytych dostatków i spacerować po wielkomiejskich ulicach, oświetlonych jego „koszulkami," dał się on opanować niespokojnemu duchowi wynalazczości i wziął się do pracy w swem laboratoryum. Niedawno „gazownicy" dowiedzieli się z trwogą, że Auer zdradził ich najwyraźniej, zamiast bowiem wspierać dalej swym talentem gaz, przeszedł na stronę elektryczności, aby z kolei i jej dać narzędzie do walki konkurencyjnej.

Z rąk jego wyszła nowa lampka żarowa, powracająca temu rodzajowi oświetlenia należne pierwszeństwo. Każdy bowiem zgodzi się na to, że elektryczność jest idealną w tym wypadku: nie dymi, nie swędzi, nie ogrzewa nadmiernie pokojów czy sal, nie wymaga żadnego „oprawiania," a obchodzić się z nią niesłychanie łatwo.

Ażeby czytelnicy zrozumieli doniosłość wynalazku Auera, musimy w paru słowach powiedzieć, jak się robi zwyczajna lampka żarowa.

Do wyrobu żarzących się włókienek używają dziś wyłącznie niemal sztucznie otrzymywanego, bezkształtnego drzewnika (cellulosy); przeciskając go przez maleńki otwór, wytwarzamy cienkie, długie włókno, które tniemy na odpowiedniej długości kawałki, zginamy w formie litery U i zwęglamy w piecach, bez dostępu powietrza. W ten sposób otrzymane włókna ulegają następnie ogrzewaniu prądem elektrycznym w gazie oświetlającym, albo w innym jakim węglowodorze; ten ostatni rozkłada się przytem na wodór i węgiel, który osiada twardą, ścisłą warstwą na powierzchni włókna i zwiększa jego trwałość oraz spójność; tą drogą można dowolnie powiększać pierwotną grubość węgielków.

Siła światła takich lamp zależy od natężenia prądu, przepływającego przez włókienko i od jego oporu elektrycznego. Im silniejszy prąd, tem do wyższej temperatury ogrzewa się węgiel, a im większy opór przy danej grubości, tem włókno jest dłuższe, a więc daje więcej światła.

Siła prądu nie może jednak przekroczyć pewnych granic, gdyż włókno się psuje; zazwyczaj tak regulują prąd, żeby temperatura węgielka wynosiła od 1290 do 1310°

C. „Pusując“ lampę, to znaczy paląc ją przy spotęgowanym dopływie energii elektrycznej, otrzymujemy wprawdzie silniejsze światło, ale za to skracamy czas jej *życia*. W pewnych wypadkach takie postępowanie jest praktyczne, albowiem „pusowana“ lampa zużywa stosunkowo do ilości wytwarzanego światła mniej elektryczności. Wogóle można powiedzieć, że dane źródło światła jest tem ekonomiczniejsze, im wyższa jego temperatura. Dlatego też lampa łukowa, gdzie pałeczki węglowe rozżarzają się w łuku Volty do 3500 stopni ciepła, działają o 0,5 razy taniej od żarowych.

Dlaczegóż więc nie poprzestać na lampach łukowych, skoro palą się one tak ekonomicznie? Oto dlatego, że rażą one wzrok swym nadmiernym blaskiem, a nie dają się tak urządzić, aby wytwarzały mniej, niż 300 świec; dają światło podzielne tylko do pewnego stopnia, tak jak koszulki Auera.

Z tego, cośmy powiedzieli, wynika, że chcąc uczynić lampę żarową elektryczną zdatną do walki z gazożarowem światłem, trzeba wynaleźć włókienka, wytrzymujące daleko wyższą temperaturę, aniżeli węglowe. Skąd jednak wziąć materyału wytrzymującego bez stopienia się lub obrócenia w parę gorąco 2—3 tysięcy stopni?

Właściwie nie trudno o niego; istnieje bowiem znaczna liczba metalów tak opornych, że dają się stopić jedynie w łuku Volty, którego temperatura, jak widzieliśmy, dosięga 3 a nawet 4 tysięcy stopni Cels. Do rzędu takich pierwiastków należą między innemi uran, tytan, chrom i osm (osmium), którego właśnie użył do swej lampy Auer.

Zasługa jego polega na odkryciu sposobu przygotowywania trwałych włókien z praktycznie nietopliwego metalu.

Lampka osmowa różni się od starej tylko materyałem użytym na włókno; ponieważ jednak wytrzymuje nieporównanie wyższą temperaturę, przeto wytwarza z mniejszym kosztem światło; oszczędność wynosi około 60% Płonie ona przy 25—50 voltach napięcia elektrycznego, podczas gdy zwyczajna lampa Edisona 16-świecowa jest skalibrowaną na 100—120 voltów; trzeba więc palić po 2—4 lampek Auera, połączonych w łańcuch, co pociąga za sobą pewną niewygodę; zniżając zaś napięcie w przewodnikach, nie możemy już tak łatwo rozprowadzać prądu. Osmowa żarówka służy na 700—1200 godzin, zanim się zużyje. Pytanie tylko, czy po wprowadzeniu jej do praktyki cena osmu nie podniesie się za bardzo; chyba że znajdą się nowe kopalnie tego rzadkiego metalu.

Drugim partyzantem po stronie elektryczności jest prof. Nernst: jego lampka zasługuje na uwagę ze względu na swą oryginalność. Zamiast węgla albo metalu użył on na włókno mieszaniny magnezyi i tlenku ytrium. Magnezya jednak, zarówno jak drugie z wymienionych ciał, nie należą do dobrych przewodników elektryczności, to znaczy, że włókienko, zrobione z tych materyałów, nie przepuszcza prądu, a więc nie może się żarzyć. Ale odnosi się to tylko do zwyczajnej temperatury; jeżeli zaś ogrzać włókno magnezyowo-ytrowe, to staje się ono przewodnikiem i zaczyna wysyłać piękne światło, podobne nader do żarowo-gazowego. Nagrzewać można w jakikolwiek sposób; doszło więc do tego, że najnowsza lampa elektryczna zapala się, jak świeca, zapałką. Włókno nie boi się powietrza, bo tlen nie działa na jego składniki: ale pomimo to mieści się ono w gruszce szklanej wraz ze spiralnie zwiniętym i okręconym azbestem drucikiem platynowym, który pod działaniem prądu ogrzewa się i podnosi temperaturę sąsiadującego z nim włókienka, dopóki to nie zacznie samo przepuszczać elektryczności. Takie nagrzewanie lampki Nernsta trwa około 15 sekund.

Z wynalazkiem Nernsta czyniono próby na wystawie paryskiej, przyczem okazało się, że oszczędność w porównaniu ze starym systemem dochodzi 50%; za to włókienko służy zaledwie na 100 godzin, poczem trzeba je zastąpić nowem.

Specyaliści utrzymują, że pociąga to za sobą znaczne koszty, które pochłaniają oszczędność na zużytym prądzie. Towarzystwo, eksploatujące wynalazek Nernsta, wynajmuje lampy za 3 marki rocznie, albo bierze 30 fenigów za każdorazową zmianę włókna starego na świeże. Zdaje się, że to trochę za drogo wobec krótkiego żywota pałeczki świecącej. Lampa ta ma jeszcze tę wadę, że wymaga bardzo stałego napięcia w przewodnikach; w przeciwnym razie włókno rozżarza się coraz silniej, aż w końcu zmienia się w parę; dzieje się to skutkiem tego, że opór elektryczny zmniejsza się ze wzrostem temperatury w lampie.

Walka elektryczności z gazem wre więc w całej pełni; co zwycięży ostatecznie? Chyba elektryczność, bo ta nie wyczerpała jeszcze arsenału swych środków, jest młodą i podatną do rozwoju potęgą.

Niedawno ktoś wynalazł lampę łukową, ekonomiczną: pali się ona bardzo jasno dzięki temu, że pałeczki węglowe są nasycone solami toru i ceru. Zjawia się tedy nowy szermierz na bezkrwawem polu walki konkurencyjnej.

Zapasy to bardzo interesujące: z obu stron występują wynalazki, zamiast bomb napełnionych korditem; zbogacają one jednych a doprowadzają do ruiny drugich. Zyskuje ogół — obojętny widz.

Zjawisko to powtarza się zresztą we wszystkich niemal dziedzinach przemysłu i techniki.

W. U.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Władysław Jabłonowski: *Dusza poety.* (Rzecz o Juliuszu Słowackim). Warszawa, 1900.

Niewielka broszurka p. Jabłonowskiego jest (z opuszczeniem tylko jednego, zbyt pospiesznie skreślonego ustępu) przedrukiem szkicu, umieszczonego dawniej w *Głosie* a napisanego pod bezpośredniem wrażeniem listów Juliusza Słowackiego do matki. Praca ta przecież posiada trwalsze znaczenie, zawiera bowiem próbę charakterystyki poety, niezupełnej i ogólnikowej, gdyż oderwanej niemal całkowicie od konkretnych zdarzeń życia, od objawów twórczości. „Naleciałością tylko“ jest dla autora i „sentymentalno dumna cześć“ natury poety, i jego „melancholie bajrońskie,“ i wogóle to wszystko, „co skutkiem wychowania i wpływu epoki zostało włożone jak płaszcz na ramiona.“ Jeno duch twórczy sam w sobie, otrząśnięty z wszelkich „naleciałości,“ ma być przedmiotem rozważań p. Jabłonowskiego. Dotrzeć do najwewnętrzniejszych, najgłębszych, najistotniejszych tego ducha znamion — oto jego zadanie. Autor jakby się obawiał dotykać drobiazgów lub tego, co poczytuje za drobiazgi, za rzeczy podrzędne i przypadkowe i dlatego uwagę swą zośrodkował wyłącznie na kilku wydatnych punktach. Przechodząc do szczegółów, spostrzeżemy, że nie wszystkie wnioski posiadają barwę nowości, i nie na wszystkie też twierdzenia autora możemy wyrazić zgodę. Przedewszystkiem kładzie on wielki nacisk na przewagę w życiu Słowackiego pierwiastków duchowych nad pobudkami zewnętrznemi, na nieustanne napięcie władz duszy, pozostających w ciągłym ruchu i wysiłku. Zasadą jego istoty było nie uleganie wpływom rzeczywistości, lecz „władza twórcza urojonych przypadków,“ lecz tęsknoty, wzloty, zawichrzenia duchowe. Ta potęga kształtowała, ściśle mówiąc, życie poety, ona określała stosunek jego do świata. Wobec rojeń, wobec pożądań i oczekiwań malała zawsze teraźniejszość lub przeobrażała się zgodnie z idealnemi potrzebami ducha. Była to praca ciągła i smutek nieustający. Wyobraźnią widział i przygotowywał swą przyszłość, wyobraźnią w przyszłość się wcielał, czyniąc ją zawsze obecną sobie, a rzeczywiste zdarzenia i konkretne swe otoczenie uważał za rodzaj próby, za coś przejściowego i tymczasowego. Odruchowo mógł się oddawać zupełnie szczerze wrażeniom chwili, lecz przed jego sądem wewnętrznym były to tylko „wrażenia,“ nie „uczucia.“ Nie czyniły one zadość wymaganiom jego ducha, nie wypełniały całej jego istoty. Wszystko, co mówi w tej sprawie p. Jabłonowski, jest tylko stwierdzeniem faktu bardzo ogólnego i znanego zresztą, dziwić się jeno należy, dlaczego ten fakt nie znalazł uwzględnienia w dziełach, rozsnuwających bardzo szczegółowo opowiadanie o życiu Słowackiego; wysunięcie zaś go na miejsce naczelne jest jedną z dodatnich stron pracy p. Jabłonowskiego.

Pragnienie sławy było również jedną z form stosunku poety do przyszłości, nowym przykładem stwarzania dla siebie urojonego środowiska, nieistniejącego w obecnej chwili, jako rzeczywistość. Zrezygnowawszy z natychmiastowego uznania, przeczuwał, iż w Westminsterze jego kraju wyznaczą mu kąt... Autor stara się zasłonić Słowackiego przed zarzutem, iż pragnienia takie płynęły z samolubnych pobudek, i utrzymuje, że „było coś odśrodkowego w tej żądzy wielkości i sławy, coś, co rozchodziło się i obejmowało życie innych, co je miało tak samo wywyższyć i uświetnić, jak jego własne“, a na dowód przytacza ustęp z listu do matki, w którym poeta mówi: „sławy nie dla mnie, lecz dla mojej kuzynki (kraju swego) pragnę.“ Można wskazać o wiele silniejszy wyraz tej samej myśli w liście do red. „Młodej Polski“ z r. 1839. „Przez ośm lat pracowałem bez żadnej zachęty dla tego narodu, w którym epidemiczną jest chorobą uwielbienie, epidemiczną chorobą oziębłość i pracowałem *jedynie dlatego, by literaturę* naszą, ile jest w mojej mocy, silniejszą i trudniejszą do złamania... uczynić. Przez ośm lat każdą chwilę życia mojego wyrywałem roztargnieniom, osobistemu staraniu o szczęście, abym ją temu jedynie poświęcił celowi, a jeżelim go nie osiągnął, to dlatego, że... Bóg... chciał, aby poświęcenie się moje bezskuteczne przydane było do liczby.. większych ofiar..“ A gdzieindziej Słowacki odmienne znowu bodźce do pracy wynajduje. Wspominając o doktorze w „Dziadach,“ dodaje: „Nic mi nie pozostaje, jak okryć ciebie, Matko moja, promieniami takiej sławy, aby cię inne ludzi pociski dojść nie mogły“ (List I. 214). Czy na podstawie tym podobnych wynurzeń mamy wnioskować, iż odsłaniają się przed nami w nich „wewnętrzne *pobudki twórczości*,“ jak się wyraża autor i że pobudki takie nadają swoiste zabarwienie marzeniom poety o wielkości i sławie? Daleką jest ode mnie myśl poddawania w wątpliwość miłości poety dla matki lub ukochania swej społeczności; niemniej w twierdzeniu p. Jabl. widzę przesadę, żadnym pietyzmem nie usprawiedliwioną. Myśl o społeczeństwie ujawnia się nie w dążeniach ku osobistemu wywyższeniu, by stąd spłynęły jakieś blaski na ogół, bo to jest wprost śmieszne, bo to jest wydział p. Odropolskiej z „Pierwotnych“ Orzeszkowej; lecz w serdecznem umiłowaniu, w wytężeniu wysiłków duchowych ku tym spra-

wom, które dla społeczności posiadają niezmierną wagę. Nie inaczej też było ze Słowackim. Dowodzą tego poematy, o których sam wzmiankuje w liście do redaktora czasopisma paryskiego, dowodzi tego zachowanie się poety w okresie towiańszczyzny. A zresztą, czy „żądza wielkości i sławy“ jest objawem etycznie podejrzanym, z którego rozgrzeszać trzeba, zwłaszcza jeżeli o Słowackiego chodzi?

Konsekwentnie snując nić swych wniosków, autor zaznacza dalej, że i w innych dziedzinach życia duchowego i uczuciowego poety nie zadawalała go rzeczywistość namacalna, że zawsze bezpośrednie wrażenia stwarzały w nim popęd do wybiegania w przyszłość, do stwarzania krain, osób, namiętności, których wciąż pożądał, do których tęsknił, lecz których wokoło siebie nie znajdował. Było to prawdą zwłaszcza w dziedzinie osobistszej, niż inne, w stosunku do uczuć przyjaźni i miłości. „Troska uporczywa o urzeczywistnienie własnego ideału uczuciowego, oto także stosunek jego do przyszłości,“ powiada p. Jabł. „Czy znalazł — zapytuje dalej — w sferze stosunków uczuciowych z ludźmi, prócz *przyjemności wrażeń* jeszcze *przyjemność uczuć?* Bez najmniejszych wątpliwości można odpowiedzieć: nie.“ I my z całem przekonaniem powtarzamy: nie. Ale jest to znowu tylko stwierdzeniem znanego faktu „Tęsknota za trwałym, głębokim związkiem z kobietą, pełną poezyi, o wysokim poziomie umysłowym i artystycznym wysuszała Słowackiego,“ mówi Jellenta w pracy wcześniejszej od studyum p. Jabłonowskiego. Ale ponad to pragnęlibyśmy syntezy wyższej; pragnęlibyśmy odgadnąć przyczynę stałej samotności serca poety, ustawicznego głodu uczuciowego i niemożności zaspokojenia go. Nie możemy przecież robić zarzutu autorowi z powodu, iż zagadnienia takie omija; gdzieindziej natomiast pozwolimy sobie umieścić pytajnik. W związku z wyżej potrąconą sprawą samotności serca autor dość obszernie się zastanawia nad szwajcarskim epizodem miłosnym. Skwapliwie podkreślając wyrażenia poety, jak to: „niemasz w tem za grosz prawdy (w tem, co mówią ludzie o zakochaniu się w Maryi W.),“ pomija lub lekceważy wszelkie inne wskazówki, zawarte czy to „W Szwajcaryi“ czy w listach, i czuje się upoważnionym do wniosku, że jeżeli Słowacki „gotów był zgodzić się już na to, żeby M. W. odegrała rolę owej lilii, którąby mu dopomogła wygrzewać się na słońcu w cichym półśnie — były to... *zwyczajne rachuby i kombinacye praktyczne*“ We wszystkiem tem nie chce on uznać „żadnych zachwytów, olśnienia wyobraźni, patosu uczuć.“ Równie jak poemat, nie krępują go wcale liryki, pisane bezpośrednio po rozstaniu się z Maryą... Że w stosunku tym najwydatniejszą rolę grała wyobraźnia, toć to nie nowina. Nie szukając dalej, przypomnijmy sobie odpowiednie ustępy z dzieła Chmielowskiego: „Kobiety Mickiewicza itd.“ Stąd przecież daleko jeszcze do wniosku, iż bohaterką „W Szwajcaryi“ była nimfa, nie Marya, z którą „latał po murawach,“ za którą Eglantynie posłał „przekleństwo“; daleko do upewnienia się, jakoby Wł. Zagórski „poważnie wstrząsnął utartymi poglądami.“ Jeżeli nawet epizod, o którym mowa, był jeno „drobnem źdźiebełkiem,“ które „rozjątrzyło tylko“ umysł czy wyobraźnię artysty, to czyżby dlatego „troska uporczywa o urzeczywistnienie własnego ideału uczuciowego“ nie miała się skupić w dobie tworzenia „W Szwajcaryi“ właśnie na pannie Wodzińskiej?

W ostatnim rozdziale swej pracy p. J. charakteryzuje Słowackiego jako towiańczyka. Utrzymuje on, iż nie należy w tym okresie dopatrywać się jakiegoś przełomu, któryby w usposobieniu poety wprowadził zasadnicze zmiany. „Było to tylko przerodzenie się jego ducha w sensie, w kierunku *oddawna nurtujących go potrzeb i dążeń*. To wszystko tak *organicznie jest związane z jego życiem poprzedniem* i tak się z niego logicznie wywodzi, że uważać tego za przypadek niepodobna.“ Prawda tego twierdzenia, ów *organiczny* związek, owa *konieczność* duchowego przeobrażenia w wykładzie p. Jabł. wskutek pobieżności nie uplastycznily się dostatecznie. Unosząc się za wysoko nad faktami, autor nie dał istotnej syntezy „duszy poety“ i nie rzucił oryginalnego światła na nielicznie uwzględnione przez siebie strony duchowego życia twórcy „Balladyny.“ Rozstajemy się przecież z nim pod wrażeniem bardzo sympatycznem. Pracy swej, jak się zdaje, przypisuje skromne znaczenie, z góry bowiem uznaje, iż „można go (Słowackiego) ujmować bez wątpienia z wielu stron,“ — „w każdym razie jednak — dodaje natychmiast — nie wypada przyglądać się mu z po za jakiegoś wału, wzniesionego z rozmaitych nikłych drobiazgów i szczegółów.“ Stąd to pewnie pochodzi wstręt p. Jabł. do zagłębiania się w rozbiór konkretnych objawów ducha poety. Owe drobiazgi, dodamy od siebie, mogą być wielce pożyteczne, ale smutno, jeżeli ponad nie wznieść się nie umiemy. Nic podobnego nie moglibyśmy p. Jabł. zarzucić. Znamionuje go owszem staranie wzbicia się na te wyżyny, skąd się ducha „duchem ujmuje“; kieruje nim przeświadczenie, że Słowacki „był nietylko tem, czem był, ale jeszcze tem, czem pragnął i usiłował być.“ I za te starania, za głęboki pietyzm względem smutnego i wyniosłego ducha Słowackiego należy się autorowi serdeczna i szczera podzięka.

A. Drogoszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

A. Dumas (syn): *Odwiedziny poślubne*, komedya w 1 akcie. — Eugeniusz Brieux: *Blanchette*, komedya w 3 aktach.

Zakwitnęły bzy i konwalie, wiecznie młoda królowa wiosna uśmiecha się do nas z każdej zielonej gałązki, a uroczystość jej odrodzenia zdążyła już zaznaczyć nasza trupa dramatu i komedyi tradycyjnem przeniesieniem swych bóstw domowych do teatru Letniego w ogrodzie Saskim. Szkoda tylko, że do wnętrza tego drewnianego gmachu, którego usunięcia z ogrodu jeden z krytyków przed rokiem jeszcze domagał się bezskutecznie, ożywcze prądy wiosny nie zdołały przedostać się dotąd, skoro na wstępie samym spotykamy się w nim z napisaną i wystawioną w Paryżu przed trzydziestu z górą laty, zręczną w dyalogu, paradoksalną w treści jednoaktówką Dumasa syna, którego, gdyby nie wzgląd na autora „Trzech muszkieterów,“ nie wahalibyśmy się już dziś zapewne nazywać poufale a dobrotliwie starym, kto wie nawet, czy nie poczciwym starym Dumasem. A może to w ten sposób p. Lubowski, któremu teatr nasz zawdzięcza przekład „Odwiedzin poślubnych,“ pragnie odświeżyć w swej pamięci wiosenne wrażenia młodości? W takim razie— do pewnego stopnia przynajmniej — bylibyśmy z wiosną w porządku.

Lecz — z wiosną tylko. Bo z drugiej strony wyznać musimy, że trudno nam zrozumieć cel zapoznawania u nas szerszej publiczności z utworami w rodzaju „Odwiedzin poślubnych.“ Że niejaki p. Gaston de Cygnerol (p. Żelazowski) gotów jest w rok po ślubie porzucić bez namysłu młodą i sympatyczną żonę (p. Rutkowska) i dziecko dla dawnej swej kochanki, mistyfikującej go przez usta jakiegoś zagadkowego dosyć p. Lebonnarda (p. Wolski) wiadomościami o rzekomych swych—podbojach miłosnych, a następnie, dowiedziawszy się, że owa pani de Morancé (p. Lüde) nie jest bynajmniej kobietą tak zepsutą, za jaką w oczach jego uchodziła przez chwilę, porzuca odrazu zamiar, powzięty w napadzie retrospektywnej zazdrości, i powraca na łono rodziny — to w gruncie rzeczy obchodzićby żywiej powinno chyba tylko takich samych de Cygnerolów, gdyby w naszych lub wogóle jakichkolwiek stosunkach mogli oni być postaciami rzeczywistemi, nie zaś jedynie— wytworami paradoksalnego umysłu. Dumas syn dla kilku frazesów w rodzaju końcowego zdania sztuki: „aby żyć z uczciwą kobietą, nie potrzebuję pani de Morancé: mam własną żonę,“ gotów był zawsze popełniać mniej lub więcej zręczne jednoaktówki, czyż jednak z tego wypływa konieczność lub nawet potrzeba odgrywania ich po latach trzydziestu w teatrze warszawskim? A jeżeli chodzi o zręczny, misterny dyalog sceniczny, to może, bez zwracania się do bogów obcych, poszukawszy trochę, odnaleźlibyśmy w literaturze rodzimej rzeczy — co najmniej nie ustępujące barwnością i błyskotliwością fajerwerkom mistrza francuskiego, a przewyższające je znacznie — głębokością.

Wymieniony kwartet artystów, występujący w „Odwiedzinach poślubnych,“ wywiązał się z zadania swego koncertowo, stwierdzając raz jeszcze pewnik niezbity, że jednak mimo wszystko, co się mówi i pisze, t. zw. komedya salonowa stanowi obecnie najmocniejszą i nawet bezwzględnie wcale mocną stronę aktorów warszawskich. Inna rzecz, czy to właśnie samo przez się nie świadczy wogóle o obniżeniu się poziomu artystycznego sceny z jednej strony, a gustów i potrzeb publiczności — z drugiej.

Że o obniżeniu się tych ostatnich zwłaszcza mówić u nas można poważnie — dowodzi między innymi fakt nader życzliwego przyjęcia — i to nietylko przez publiczność, lecz i przez znaczną część krytyki fachowej— trzyaktowej komedyi Eugeniusza Brieux p. t. *Blanchette* (próba spolszczenia tytułu na „Bieluchnę“ została, pod wpływem uwag p. Sygietyńskiego w *Gazecie polskiej*, odrzucona).

Czemże jest właściwie ta „komedya“ pisarza francuskiego? Według nas, niezbyt zręcznie sklejonym melodramatem tendencyjno-ludowym, w rodzaju tych, jakie przed paru laty wystawiano u nas z powodzeniem w teatrach ogródkowych, lecz pod względem artystycznym słabszym od takiej np. „Małki Szwarcenkopf,“ a „zato“ przenikniętym nawskroś zupełnie wsteczną tendencyą. Autor, ni mniej ni więcej, tylko próbuje dowieść z góry powziętego założenia, że córki hołoty, w rodzaju małomiasteczkowych karczmarzy czy oberżystów, nie powinny się kształcić wyżej, gdyż koniec końcem doprowadza je to tylko do zerwania węzłów wszelkich z rodziną najbliższą i stoczenia się aż na dno moralnego upadku. Teza sama przez się aż nadto ryzykowna, a na jej poparcie autor wytacza cały arsenał zdarzeń przypadkowych lub niedających się usprawiedliwić psychologicznie, co uwalnia nas chyba od obowiązku szczegółowego streszczania jego utworu.

Przekładu sztuki, z godną lepszej rzeczy starannością, dokonała pani Salomea Chwatowa. Główne role—ojca, ambitnego a ograniczonego karczmarza francuskiego, i nauczycielki-córki, niezrozumiałego a płytkiego zlepku złych i dobrych rysów charakteru— znalazły zupełnie zadawalających wykonawców w osobach p. Frenkla i pani Ireny Trapszo. Pierwszy zwłaszcza stworzył ze swego Rousset'a postać pełną prawdy i siły. W rolach drugorzędnych dobrzy byli pp. Szobert i Wilczyński. Pani Borkowska nie potrafiła nic zrobić z bezbarwnej roli żony ambitnego karczmarza.

Jednoaktowe studyum sceniczne p. Gor-

czyńskiego p. t. „Sublokator“ tak prędko zeszło z repertuaru, że nie zdążyliśmy zobaczyć go na scenie i sprawozdanie z niego odłożyć musimy do innej sposobności.

Wł. Bukowiński.

POEZYE

Cierpiąca dusza.

Jak się na łożu chory porusza,
Bo w położeniu mu każdem źle,
Tak się przewraca, wije ma dusza,
We włosienniczem swych myśli gźle.

Każda z nich troskę, żal, gniew lub trwogę,
Złą wróżbę - złe mi wspomnienia śle. .
Tej znieść nie mogę! i tej nie mogę —
I z tą .. i z tą mi źle...

Gdyby choć z jednej słodka kropelka
Dla pokrzepienia mdlejących sił!—
Gdyby choć ulga w którejś niewielka,
Choć punkt oparcia był..

Szukam, dobieram sobie do smaku
Myśli, przy której możnaby spać!..
Rankiem się budzić i do deptaku
Z sercem choć trochę weselszem wstać.

Nie! wszystko żmije, których ukłucia
Duszę w śmiertelny wprawiają stan —
Pojęcia bolą mię i uczucia!.
Ile ich — tyle ran...

Marya Grossek.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZYCZYNEK DO KWESTYI ROLNEJ.

II.

Druga część pracy Vandervelde'a zawiera monografie *regionalne*, w których autor bada rozwój własności rolnej w dziewięciu prowincyach Belgii.

Prawodawstwo handlowe sprzyja skupieniu kapitałów; natomiast prawa spadkowe, ustanawiające podział przymusowy i legalny, działają w kierunku rozdrobienia własności rolnej. Celem ich jest podział dziedzictwa, upadek wielkich dominiów, zniesienie *latifundiów*, pozostałych z czasów *ancien regime*.

Czy cel ten osiągnięto? Czy zogniskowanie kapitału rolnego jest mitem? Aby odpowiedzieć na to pytanie, autor przy pomocy całego sztabu współpracowników, i dzięki ułatwieniom ze strony ministra skarbu, wydobył z pyłu biur administracyjnych stare księgi kadastralne (w 2,609 gminach) i zebrał dane, obejmujące okres czasu od 1834 (dla prowincyi Limburg i Luksemburg od 1845 r.) do 1898 r. Za wielką własność autor uważa 100 hektarów, ponieważ w Belgii kultura rolna jest bardzo intensywna, i po cierpliwych badaniach dochodzi do wniosku, że majątki obejmujące 100 hekt. i więcej, należące do osób prywatnych, zajmują teraz większą przestrzeń, aniżeli 1834 –1845 r.

Rozdrobnienie, które nastąpiło w kilku prowincyach — Namur, Limburg, Hainaut — jest mniejsze od skupienia w innych prowincyach.

Rozwój miast, z willami, ogrodami, parkami dąży do usunięcia wielkiej własności z ich okolic bezpośrednich, lecz rozwój kapitału dąży do zwiększenia tej własności w okolicach, blizko położonych od miasta. Jako regułę ogólną autor podaje: rozwój własności wielkiej w tych miejscowościach, które bezpośrednio ulegają wpływowi główniejszych miast; natomiast cofanie się wielkiej własności w tych, które wskutek oddalenia swego i trudności komunikacyi, znajdują się po za sferą tego wpływu.

Wyjaśnienia podwójnego ruchu szukać należy zapewne w działaniu praw spadkowych, prowadzących do ciągłego podziału własności, oraz w sprzedaży i kupnie, umożliwiającem zogniskowanie rolne. Działanie praw spadkowych bierze górę w okolicach odległych, w których bankierzy, wzbogaceni przemysłowcy i inni nabywcy nie dążą do budowania pałaców i kupowania wielkich dominiów. Skupienie natomiast bierze górę w kantonach, położonych naturalnie lub sztucznie (dzięki kolejom żelaznym) w blizkości wielkich ognisk, gdyż tam umieszczanie kapitałów jest zyskowniejsze (wzrost renty jest szybszy) lub pobyt dla kapitalistów wygodniejszy.

Ogromny wpływ, jaki wywiera rozwój miasta na podział własności rolnej, najlepiej daje się zbadać w prowincyi brabanckiej. W 1831 r. ludność brukselska stanowiła 21,2% całej ludności Brabantu, dziś zaś wynosi 44,1%. Ten rozwój stolicy, zarówno jak szybki wzrost okrążających ją gmin spowodował, że w podmiejskich okolicach Brukselli zniknęły posiadłości 100 i przeszło 100 hektarowe, które w epoce układania kadastru (1835) były dość liczne. Lecz natychmiast po za tą bezpośrednią sferą Brukselli nastąpił ruch w kierunku przeciwnym, tak że w rezultacie otrzymujemy nie zmniejszenie, lecz zmianę miejsca własności wielkiej. W 1834 r. było 224 posiadłości wielkich (przeszło 100 h.), zajmujących 11,8% obszaru całej prowincyi, w 1898 było ich już tylko 209, lecz obszar ich zwiększył się do 12,6%, czyli mniejsza liczba właścicieli posiada większą ilość hektarów. Ponieważ, z drugiej strony ogólna ilość posiadłości wciąż się zwiększa, więc wynika stąd, co potwierdzają cyfry, że w sferze własności małej i średniej większa część właścicieli posiada mniejszą ilość hektarów. *Pomimo* więc praw spadkowych, ogólna ilość wielkiej własności zostaje nienaruszona, a nawet wzrasta; *z powodu* zaś praw spadkowych i rozmaitych innych przyczyn, działających w tym samym zakresie, mała, zwłaszcza bardzo mała własność również zwiększa swój obszar; „jest to zatem własność średnia, rodzinna, która dąży do upadku, tak że wielkimi krokami zbliżamy się do stanu, urzeczywistnionego już w wielu innych prowincyach: z jednej strony obszerne dominia, z drugiej — masa drobnych parceli, uprawianych przez najemników rolnych lub przemysłowych.“ Nie we wszystkich częściach prowincyi odbywa się ten ruch w zakresie skupienia i rozdrobnienia. Ze szczegółowo ułożonej tablicy widać, że wielka własność cofa się w kantonach, najbardziej oddalonych od stolicy, skupia się zaś w kantonach okrążających ją.

W każdym zaś razie w obu wypadkach— skupienia i rozdrobnienia — mamy do czynienia z objawami, wynikającymi z postępu kapitalizmu; postęp ten objawia się nawet tam, gdzie własność mała i średnia rozwijają się na niekorzyść wielkiej, dlatego, że rozwój kapitalizmu sprowadza zmianę kultury rolnej i przejście od uprawy ekstensywnej do intensywnej. Wreszcie, coraz większe panowanie kapitału objawia się we wzroście liczby dzierżaw i w zmniejszeniu się liczby gospodarstw, uprawianych przez właścicieli. Rolnik coraz rzadziej jest właścicielem roli.

Wywody, do których przyszedł Vandervelde w drugiej części swej pracy, w zupełności potwierdzają się w nowszej, urzędowej statystyce rolnej Belgii, którą autor rozbiera w trzeciej części.

W r. 1834 wypadało 23 posiadłości rolnych na 100 mieszkańców, w 1897 już tylko 18. Liczba zatem tych, co nie mają żadnej własności rolnej, wzrosła znacznie w drugiej połowie XIX wieku. Fakt ten, charakteryzujący raczej industryalizacyę kraju, nie ma sam przez się znaczenia w sprawie rolnej, w kapitalizacyi rolnictwa. Kapitalizacyę ową charakteryzujemy zwykle w ten sposób, że wprowadzamy do przedsiębiorstwa rolnego trzy klasy, wyraźnie oddzielone: najemników, którzy są prawdziwymi uprawiaczami roli; farmera (dzierżawcę) kapitalistycznego, który kieruje przedsiębiorstwem i ciągnie zeń zyski; właściciela rolnego, pozwalającego farmerowi, aby ten włożył swe kapitały w jego ziemię wzamian za stałą opłatę (dzierżawę) według umowy. Ten stan rzeczy zdarza się tylko w gospodarstwach wielkich i średnich. Lecz Vandervelde, rozszerzając słusznie znaczenie terminu, nazywa *kapitalistyczną* każdą własność rolną, nienależącą do tych, którzy ją uprawiają, i przeciwstawia ją właśnie *chłopskiej*. To proste rozszerzenie pojęcia rzuca odrazu więcej światła na kwestyę. Jeżeli bowiem będziemy mieli na oku konsekwencye społeczne, to odrazu dostrzeżemy, że przewaga gospoparstwa dzierżawnego nad kierowanem bezpośrednio przez właściciela, jest faktem ważniejszym, aniżeli przewaga wielkiej własności nad małą lub odwrotnie. Z chwilą bowiem, gdy rolnik płacić musi rentę, położenie jego nie zmienia się wskutek tego, czy w danej okolicy ziemia, uprawiana sposobem dzierżawnym, należy do jednego lub do wielu właścicieli. W ostatnim nawet wypadku, jak dowodzi przykład Sycylii, Irlandyi lub Finlandyi, wyzyskiwanie dzierżawcy może być nieznośniejszem, zależność ludności większą. „Można nawet powiedzieć, że dzierżawcy parceli w Finlandyi, którzy nie są większymi kapitalistami od robotników domowych, skazanych na *sweating system*, są bardziej wyzyskiwani, aniżeli wielu robotników rolnych w Hesbaye lub Condroz. Gdyby więc wykazano, że własność rolna się rozdrabnia, nie dowodziłoby to wcale, że się demokratyzuje; przeciwnie, położenie będzie odwrotne, jeżeli jednocześnie eksploatacya pośrednia (dzierżawna) przeważa nad bezpośrednią.“

Otóż fakt ten objawia się wszędzie tam, gdzie rozwój kultury intensywnej wymaga coraz większych kapitałów i przez to znosi warunki istnienia własności chłopskiej. W r. 1880 liczono na ogół gospodarstw rolnych 68% dzierżaw i 32% uprawianych bezpośrednio przez właścicieli. W r. 1895 stosunek ten jest 72 : 28. Aby wszakże ocenić należycie znaczenie wzrostu systemu dzierżawnego, trzeba rozpatrzyć w szczególności rozmaite wielkości gospodarstw. Ze względu na nierówną intensywność i wartość gospodarstw rozmaitych okolic, autor przyjmuje z zastrzeżeniami następującą klasyfikacyę:

Wielkie gospodarstwa		50 i więcej ha.
Średnie	„	10—50 ha.
Małe	„	2—10 „
Parcelowe	„	0—2 „

Wśród tych rozmaitych kategoryj pierwsze miejsce zajmują gospodarstwa parcelowe. Według spisu 1895 r., wszystkich gospodarstw rolnych było 829,625, w tej liczbie aż 634,353 parcelowych! Wśród tych ostatnich 469,486 (!) stanowią dzierżawę, reszta (tylko 164,867) uprawiana jest przez samych właścicieli. Gospodarstwa te, w ogromnej ilości, należą do rodzin robotników rolnych lub fabrycznych, dla których stanowią pewną pomoc w budżecie domowym. Lecz z punktu widzenia agronomicznego oraz położenia społecznego kobiet, spychanych przez to na stopień zwierząt roboczych, wreszcie, z punktu widzenia szkolnictwa ludowego, któremu parcele zabierają mnóstwo dzieci — skut-

ki są opłakane. To też, zdaniem autora, cieszyć się należy, że w miarę rozwoju przemysłu krajowego. wielkość parceli się zmniejsza i gospodarstwa te dążą do przemiany na proste ogródki warzywne.

Od 1846 do 1866 r. rozwój gospodarstw parcelowych był stosunkowo nieznaczny, lecz następnie do 1880 r. ekspansywność kapitalizmu objawia się w powiększeniu liczby parceli robotniczych o 200,000: w r. 1880 było 710,563 parceli. czyli 78% gospodarstw niżej 2 hektarów. Od tej chwili jednak rozpoczyna się ruch odwrotny: widzieliśmy, że w r. 1895 liczba ich wynosiła tylko 634,353. Belgijski minister rolnictwa sądzi, że zmniejszenie to jest tylko pozorne, gdyż w r. 1880 spis rolny odbywał się na innych zasadach. Vandervelde wszakże przypuszcza, że liczba parceli rzeczywiście mogła się zmniejszyć i objaśnia to tem, że w niektórych okręgach *rolniczych* (w przemysłowych liczba parceli wciąż wzrasta) zmniejszyła się liczba robotników rolnych. Było ich mianowicie:

r.	mężczyzn	kobiet	razem
1880	141,762	75,433	217,195
1895	128,277	58,829	187,106

Zmniejszenie się liczby najemników wynikło stąd, że od kryzysu rolnego wielką część ziemi uprawnej zamieniono na łąki i pastwiska oraz lasy, jak z drugiej strony oszczędzanie rąk roboczych w gospodarstwach, wskutek ich drożyzny stosunkowej, wywołało wychodźtwo ze wsi w tych okolicach, w których ludność robotnicza, dla braku wygodnej komunikacyi, nie może mieszkać na wsi i pracować w mieście.

Liczba małych gospodarstw (od 2—10 hekt.), własnych (należących do tych, którzy je uprawiają) i dzierżawnych rozwijała się jak następuje:

r.	własne	dzierżaw.	razem
1866	68,598	94,713	163,503
1880	60,298	97,063	158,261
1895	51,298	99,288	150,586

Liczba zatem małych gospdarstw chłopskich wciąż się zmniejsza. Fakt ten jest tem wymowniejszy, że liczba dzierżaw tej kategoryi wciąż się zwiększa. Innemi słowy: mała własność rolna coraz bardziej wymyka się z rąk tych, którzy ją uprawiają.

Gospodarstwa średnie (od 10—50 hekt.) przeciwnie wzrosły, liczebnie. Do 1880 r. ilość ich zmniejszyła się z 47.062 do 38,169, lecz następnie wzrosła w 1895 r. do 41,102.

„Pomimo to byłoby błędem wnioskować stąd, że średnia własność chłopska lub średnia uprawa wzrasta we wszystkich częściach kraju. Przeciwnie, wszędzie, gdzie rozwija się przemysł, cofa się raczej wskutek podrożenia rąk roboczych.“ Z tego powodu położenie gospodarstw średnich staje się coraz trudniejsze, ulegają one w walce z kapitałem przemysłowym, który zabiera im najlepsze siły robocze. I w tej kategoryi system dzierżaw coraz bardziej się rozwija. „Jak widzimy — powiada autor — postęp kapitalizmu nie pociąga z konieczności za sobą skupienia kultury rolnej; przeciwnie, zdarza się dość często, że te same przyczyny, które dążą do zmniejszenia liczby gospodarstw własnych, wywołują jednocześnie podział wielkich dominiów, rozwój uprawy warzyw i płodów przemysłowych, zwiększenie liczby parceli robotniczych, odnajmowanych drożej, aniżeli wielkie fermy“.

Gospodarstwa wielkie wreszcie (od 50 hekt.) rosną w liczbę, począwszy od 1880 r.: wynosiły wtedy 3,403, teraz —1895 r.— 3,584. Rocznik statystyczny ministra spraw wewnętrznych stwierdza jeszcze większy postęp wielkiej uprawy i pisze z tego powody: „Skupienie własności rolnej, odpowiadające rozwojowi wielkiej kultury i hodowli bydła, objawia się tu w formie bardzo wyraźnej. *Obecnie drobna własność rolna ustępuje przed wielką uprawą*“. „Te postępy wielkiej kultury — powiada Vandervelde — okazałyby się daleko znaczniejszemi, gdyby nie zasłaniał ich ruch w kierunku odwrotnym, który utrzymuje się jeszcze w pewnych częściach kraju“ — gdzie okres rozdrabniania nie skończył się jeszcze.

W każdym razie, w ogromnej większości okręgów rolniczych — bez względu na to, czy wytwórczość się skupia lub rozdrabnia — własne gospodarstwo, praca na własnej roli traci coraz bardziej grunt pod sobą.

„Nieuniknionym skutkiem własności rolnej przy panującej metodzie produkcyi jest podział rolnika-właściciela na dwie osoby: na właściciela i na przedsiębiorcę.“

A. Warski.

WIADOMOŚCI URZĘDOWE.

Gazeta *Kawkaz* (nr. 107) podaje następujący komunikat urzędowy:

„W niedzielę, d. 22 kwietnia (6 maja), tłum, złożony przeważnie z robotników fabryk miejscowych, zakładów przemysłowych i rzemieślniczych, wywołał rozruchy w Tyflisie na Bazarze żołnierskim. Skorzystawszy ze znacznego napływu ludności na odbywający się tam targ niedzielny, od 300 do 400 burzycieli porządku oddzielnie, różnemi drogami, pod postacią sprzedawców, zeszło się na placu targowym.

O godz. 11 przed poł. kilka osób z pośród nich, w celu zgrupowania manifestatów i zwrócenia uwagi ciekawych, zaczęło hałasować, a następnie, zbiwszy się w masę i podniósłszy czerwony sztandar z materyi jedwabnej, tłum ruszył od „Wielkoksiążęcych pokojów meblowanych“ przez Bazar żołnierski do prospektu Hołowińskiego.

Policya wezwała do rozejścia się, przyczem pomocnik komisarza, Gedewanow, wraz ze policyantami usiłował odebrać sztandar. w odpowiedzi na to posypały się na nich razy potajemnie przyniesionych krótkich lasek i korzeni drzew. Niektóre z osób wśród tłumu zaczęły wyjmować sztylety. Pomimo olbrzymiej przewagi liczebnej manifestantów, policyi udało się jednak zerwać i zabrać sztandar. Wzburzeni próbowali ruszyć naprzód, wlokąc nieprzytomnego Gedewanowa i prowadząc dalej zawziętą walkę z policyą.

Znajdujący się w swych osobistych interesach na targu szeregowcy różnych oddziałów wojska i wielu obywateli miejscowych, widząc ciężkie położenie policyi, z własnej inicyatywy, połączywszy się w grupy po kilka osób, energicznie przyszli z pomocą. Powstała ogólna bójka, której wynikiem byli poszwankowani z jednej i drugiej strony. W tymże czasie z pośród manifestantów padło sześć wystrzałów rewolwerowych, przyczem policyanta Kitancewa raniono dwiema kulami w biodro i ramię.

Dzięki wspólnym usiłowaniom policyi i żołnierzy, ruch niezwłocznie wstrzymano. Przybyły policmajster wraz z policyą konną i jeźdźcami straży policyjnej powstrzymał bójkę, zabrał głównych winowajców i ostatecznie rozproszył manifestantów. W tym czasie na miejsce rozruchów przybył konno gubernator w towarzystwie żandarmów polowych i kierował ostatecznem przywróceniem spokoju. Jednocześnie przybyły, na wezwanie gubernatora, 1 kaukaski batalion saperów i 30 kozaków pułku choperskiego i obecnością swoją przyczyniły się do zupełnego uspokojenia wzburzonych.

Rozruchy wogóle, od chwili ich powstania do usunięcia z placu zbuntowanych, trwały około kwadransa. Najostrzejszy ich przebieg nie trwał dłużej nad osiem minut. Z pośród osób, kierujących rozruchami, policya zatrzymała na miejscu 41 osób; większość z nich to robotnicy, prócz tego jeden student charkowski i trzy słuchaczki kursów, wydalone z Petersburga za ostatnie rozruchy.

Obecnie wyjaśniono, że podczas rozruchów ponieśli szwanki: policmajster Kowalew, któremu, upadający pod nim, koń rozbił kolano i wywichnął stopę, pomimo to pełnił on swoje obowiązki jeszcze przez kilka godzin; pomocnik komisarza Gedewanow, który otrzymał ciężkie, lecz nie niebezpieczne rany ręki i lewego boku; wspomniany wyżej policyant Kitancew i kilku innych, którzy otrzymali uderzenia i lekkie poranienia. Z pośród manifestantów ucierpieli: poważnie —Małamadze, który strzelał z rewolweru i lżej —jeden z niosących sztandar; odniosło też mniej lub więcej ciężkie obrażenia dziesięć osób aresztowanych.“

KRONIKA.

Szkoły. W departamencie rolnictwa ma powstać osobny wydział do spraw szkolnictwa agronomicznego.

— *Jużnyj kraj* donosi, że zarząd uniwersytetu charkowskiego, zbadawszy z polecenia ministra oświaty sprawę powtórnego przyjęcia studentów wydalonych wskutek tegorocznych zaburzeń, postanowił przyjąć wszystkich na zasadzie próśb, składanych na imię rektora uniwersytetu. Egzaminy pozwolono odkładać do jesieni.

— Inspektor szkół m. Warszawy wystąpił ponownie do magistratu z żądaniem wyasygnowania dodatkowego funduszu na zwiększenie płac nauczycielom szkół elementarnych.

— Z początkiem roku szkolnego stowarzyszenie nauczycieli chrześcian otwiera w Łodzi szkołę handlową.

— *Pet. Wied.* donoszą, że ministeryum oświaty rozesłało okólnik do kuratorów okręgów naukowych i do wyższych zakładów szkolnych z szeregiem pytań w sprawie projektowanej reformy tych zakładów. Ministeryum prosi o wypowiedzenie opinii co do organizacyi kolegium profesorskiego, programu zajęć praktycznych i teoretycznych oraz co do organizacyi słuchaczów. Niektóre fakultety w oczekiwaniu tego okólnika już przystąpiły do opracowania szczegółowego podstaw przyszłej organizacyi szkół wyższych, mianowicie samodzielności, korporacyi profesorskiej, współdziałania między profesorami a młodzieżą i w pewnych granicach korporacyj studenckich, mających na celu zapobieganie potrzebom młodzieży materyalnym (kasy pomocy) i moralnym (sądy honorowe). Odpowiedzi na te pytania nadeślą do ministeryum wszystkie okręgi w państwie.

Z sądu. Senat rządzący pozostawił bez skutku skargę kasacyjną Piotra Karpowicza na wyrok petersburskiej Izby sądowej. Sprawa Mikołaja Łagowskiego nie była wniesiona w oznaczonym czasie do wyższej instytucyi. Wyroki więc obu skazanych jako prawomocne weszły w wykonanie 8 i 11 maja r. b. (*Praw. Wiest.*).

Ruch kobiecy. Zarząd szpitala Jana Bożego wystąpił do rady miejskiej dobr. publ. z podaniem o utworzenie w szpitalu dwóch posad felczerek.

— Senat finlandzki na żądanie fińskiego związku kobiecego, domagającego się dopuszczenia kobiet do szkół agronomicznych niższych i wyższych, odpowiedział zezwoleniem ,aby kobiety w charakterze studentek wydziału filozoficznego uczęszczały na kursa agronomiczne i gospodarskie wszystkich szkół i zakładów agronomicznych. W uczelniach tych mają być przerobione lokale, w celu odpowiedniego pomieszczenia słuchaczek.

Zdrowie publiczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę nowego Towarzystwa niesienia pomocy i pielęgnowania chorych po za obrębem szpitali w Warszawie.

Kongres międzynarodowy wydawców obradować będzie w Lipsku od 10—13 czerwca. Przedmiotem rozpraw będą tylko kwestye międzynarodowego znaczenia. W kongresie uczestniczyć będzie około 400 wydawców oraz przedstawiciele 41 związków wydawniczych.

Konkurs. Na konkurs Delegacyi architektonicznej projektowanego domu dochodowego przy zbiegu ul. Marszałkowskiej i Moniuszkowej w Warszawie, nadesłano ogółem 22 prace. Sąd, złożony z budowniczych pp. Józefa Dziekońskiego, Artura Goebla, Edwarda Lilpopa, Kazimierza Loewego i Bronisława Żochowskiego, przy współudziale właściciela posesyi, p. Felicyana Jankowskiego, na posiedzeniu d. 13 b. m., przyznał nagrodę pierwszą (w sumie

1000 rb.) projektowi oznaczonemu godłem „Ars,“ nagrodę drugą (600 rb.) projektowi opatrzonemu godłem „Praca,“ wreszcie nagrodę trzecią (400 rb.) projektowi z „pieczątką z laku zielonego.“ Nadto na zasadzie warunków konkursu przeznaczono do zakupu (po 200 rb.) projekty opatrzone godłami: „Straszny dwór“ i „Nemesis.“ Po otworzeniu kopert okazało się, że autorami projektu opatrzonego godłem „Ars“ są architekci pp. Adam Oczkowski i Stanisław Grochowicz w Warszawie, autorem projektu z godłem „Praca“ jest architekt p. Gustaw Landau w Łodzi, autorem projektu oznaczonego „pieczątką lakową“ jest architekt p. Teofil Wiśniowski w Warszawie, autorem pracy z godłem „Straszny Dwór“ jest architekt p. D. Lande w Łodzi, wreszcie autorem pracy z godłem „Nemezis“ jest architekt p. Stanisław Weiss w Warszawie. Prace nadesłane na konkurs wystawione są w sali wielkiej Muzeum przemysłu i rolnictwa od d. 15 maja do 1 czerwca r. b., codziennie od godziny 10 rano do 6 po południu. Wejście bezpłatne.

Koleje i komunikacye. D. 6 maja otwarto ruch towarowy na nowej linii kolejowej Kijów — Połtawa. Pociągi osobowe kursować zaczęły 12 b. m.

— Urzędowo zawiadomiono tutejsze koleje, że z powodu spalenia się mostu na oddziale Szeragul-Kujtun, kolei Syberyjskiej, ruch towarowy do czasu odbudowania mostu, zupełnie wstrzymano. Podróżni przesiadają się.

Przemysł i handel. *Kuryerowi Warsz.* donoszą z Dąbrowy Górniczej o utworzeniu się tam tak wielkich zapasów węgla, że kopalnie musiały ograniczyć produkcyę i oddalić część robotników, po szukiwanych tak bardzo jeszcze przed rokiem. Dawniej płacono za dzień pracy w kopalni 1 rb. do 1 rb. 50 kop., obecnie zaś 50—60, a nawet 35 kop.

— W roku ubiegłym wywieziono masła z państwa rosyjskiego za 13 milionów rubli. Można przewidywać, iż w roku bieżącym wywóz tego produktu zwiększy się jeszcze.

— Produkcya nafty na całej kuli ziemskiej wynosiła w 1899 r. 16,754,858 ton; przeszło 90% przypada na Stany Zjednoczone Ameryki północnej i na Rosyę. Nieznaczna jest produkcya nafty w Austro-Węgrzech, Rumunii, Kanadzie, w Indyach niderlandzkich, we wschodnich Indyach angielskich. Aż do r. 1897 Stany Zjednoczone Ameryki północnej pierwsze miejsce zajmowały w produkcyi nafty, od tego czasu przewyższyła je Rosya. Produkcya nafty od 20 lat wzrasta z małemi przerwami i podwoiła się w tym okresie.

Odpowiedzi Redakcyi

Czytelnikom interesującym się językiem Esperanto. Po wszystkie podręczniki, czasopisma i dzieła w języku lub o języku Esperanto zgłaszać się należy do twórcy języka, *D-ra Ludwika Zamenhofa w Warszawie, ul. Dzika, nr. 9.* Pragnącym obeznać się gruntowanie z językiem Esperanto, zalecamy przedewszystkiem broszurę w języku polskim p. t. *Język międzynarodowy. Przedmowa i podręcznik kompletny.* (Cena 15 kop.); *Egzercaro de Lingvo Internacia Esperanto* (cena 30 kop.); *Traduko de la egzercaro en la lingvoj: franca, rusa kaj polae* (cena 20 kop.) i *Słownik uniwersalny języka międzynarodowego*, w 6-ciu językach europejskich (cena 40 kop.). Ze wszech też miar zasługuję na odczytanie obszerny artykuł p. t. *Esperanto*, w obecnie wychodzącej *Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedyi Powszechnej*, w której objaśniona jest również cała gramatyka i budowa języka Esperanto. — Dla osób nadto, posiadających język francuski, polecić możemy najlepszy ze wszystkich gdziekolwiek wydanych podręczników do nauki języka Esperanto: *Manuel Complet* p. t. *Langue Internationale Esperanto, avec double dictionnaire par L. de Beaufront. Quatrieme Edition. Paris. Libraire H. Le Soudier, nr. 174 Boulevard Saint Germain*, 1899. (Prix 1 fr. 50 c.). Przy wysyłaniu D-rowi Zamenhofowi należności za książki, dodać należy zawsze 10% jeszcze na *przesyłkę* żądanych dzieł, a w razie wymagania jakich informacyj, właściwą *markę pocztową* na odpowiedź, gdyż inaczej wszelkie zapytania pozostaną bez odpowiedzi.

SPROSTOWANIE. W nr. 17 *Prawdy* w wierszu p. t. „Pogrzeb,“ w w. 2 zam. *dzielą* się całuny, powinno być *ścielą*: w. 11 zam. na *poddaszach* wpośród świec *jarzacych* — na *poduszkach* wpośród świec *jarzęcych* (użyto w znaczeniu nie jarzących, tj. płonących, lecz jarzęcych, tj. woskowych, z białego wosku); w. 31: zam. *zdobią* — *zbiją*; w. 66: zamiast *szczyty* — *szczęty*; w. 89: zam. *gruzy* — *grudy*: w 101: zam. *krzyżak* — *krzyżyk*; w. 121: zam. I nic w biegu nie zmieniło, pow. być: Nic się w biegu itd.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Мая 1901 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.